

Wypisów NIE zrobiono

---

---

---



350 WARSZAWA

zdj. (Ksaw)

AK  
IV-wa

(1944) REBANDEL Anna

11 v° Sołeczka

zd. Kapustówna

ps. "Lina"

1517/W5K

Spis zawartości teczki - REBANDEL Anna

1517/WSK

I/1. Relacja ✓ k. 2 s. 1-2

I/2. Materiały dokumentujące walkę relatorki o niepodległość ✓ k. 4, s. 1-4  
i stanowiące uzupełnienie relacji

I/3. Materiały uzupełniające relację, inne niż w punkcie I/2 ✓ k. 21, s. 1-21

II. Materiały dotyczące osoby relatorki  
i jej działalności nie związanej z walką o niepodległość

III. Inne materiały

1 - dotyczące rodziny relatorki

2 - dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

3 - nie związane z okresem II wojny światowej

IV. Korespondencja bieżąca ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ kora 2 str.

I/1.

## RELACJE

- Relacja własna, Warszawa [b.d.], rkps, kopia, k. 2, s. 1-2.  
Wpłynęło do fundacji 9.12.1998r.





Wpłynęło dnia 9. XI. 98  
L.dz. 2243/ WSK/98

Anna Rebandel - Szaletka

ul.

01-350 Warszawa

nr. 2.06.1924.

Archivum N.S.K.

przy Fundacji Archivum Komors. A.K.

ul. Wielkie Garbary 2

87.100 Torun

Dnia 6. I. 1940 r. otrzymałam propozycję w obecności d-cy komp. por. „Matka” Kazimiera Młodziejewicza, Rej. I, Obw. III Warszawa-Kr. Pelnitam funkcję kółper-  
tekli przy podziemnej masie broni, byłam sanitariuszką na wypadach dywersyj,  
przepisywałam mi maszyną tajne instrukcje dla szkoły podoficerskiej które  
mieściła się w m. domu oraz prowadziłam zajęcia praktyczne z bronią w m.w. szkole.

O godz. „W” za pozwoleniem d-cy plutonu („Julia”) wraz z moim („Wład”) postanowiliśmy złożyć się do zgrupowania bat. „Kiliński”. Pomocnik do m. punktu sztabowego  
mię dotarliśmy, obozowaliśmy do zgrupowania „Forsal”. Wrestruiliśmy w walkach przy  
ul. Żytniej, Karłowej, pl. Kercelęgo, emantar ewangeliki, Krecpe Koto, Szdy a później  
kuchnia Gapienów kwaterowaliśmy w „Staronci” - już w bat. „Kiliński” IV komp. por. „Osy”.  
oni ob. łowce powstanie mi St. Mieście, skąd niemy - poprzez ob. & Gauszłoni - wyruszy-  
liśmy do Opoczna, pomocnik byłam w odmiennym stanie

dotarłam, że cały nasz konspiracyjny ugrupowanie wraz z innymi moimi Matka  
(ps. „Julia”) ojciec (ps. „Gust”) oraz brat (ps. „Kump”) którzy z manuskryptem zgrupowaniem  
„Kaliłona” (rej. j. u.) przedarli się do Puszczy Kampinowskiej i walczyli w okolicach  
Tomarkowa, Łasch i innych a także brali udział w materiał na Instytut Chemii na  
Zolibron i na Kwerzec Gdański. Matka kilkakrotnie przedierała się z Puszczy  
Kampinowskiej do Bemowa, przewoziła rozchary i broń, także dla odd. „Solim”.

Mój mój kwaterant Rebandel ps. „Wład”, przeszedł kwaterami ze Strągo  
Miasta do Śródmieścia, po czym posłał jedną z akcji zostawił listko ramny w kwaterze,

przebiegiem do szpitala przy ul. Kamiarskiej, gdzie podlegał  
komendantowi szpitali i w pow. szpitalu dn. 19 września.

Prosiłam następująco odznaczenia:

1. Krzyż Partyzancki
2. Medal Długoletwa i Kwalifikacji
3. Warszawski Krzyż Powstańcy
4. Medal Kopie po raz 1, 2, 3 i 4 (dowody)
5. Krzyż Armii Krajowej (dowody)
6. Medal za Warszawę

oraz odznaczenia „Kryż Brama” i „Weteran Wojny”,

prosiłam także o spisane wspomnienia z okresu konspiracji i powstania.

Wspomnienia moje i moje siostry w książce pt. „Reduta PKWN” Julienne Kulasy.

Kam ten oryginalny opis mojej Matki i Kampirów

Do władz:

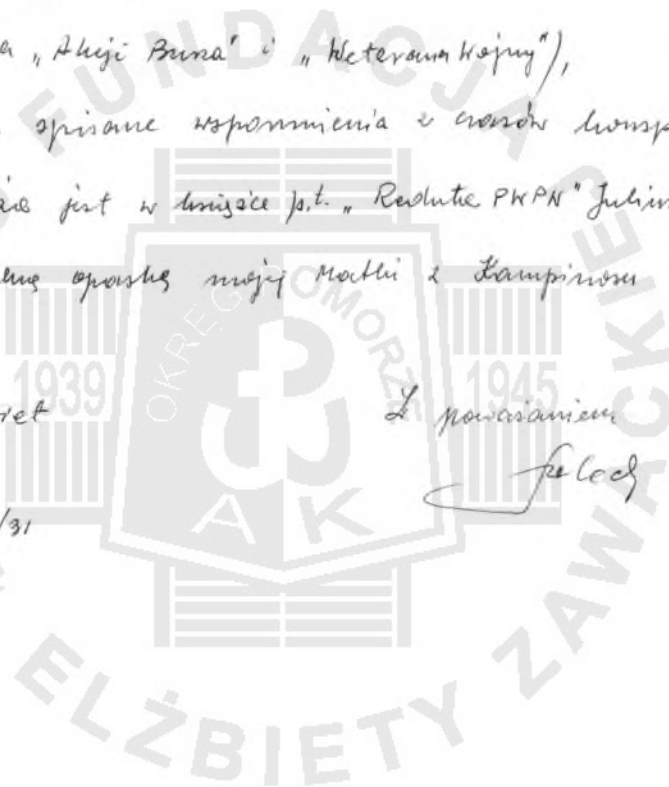
Komisja Historyczna Kobiet  
Tow. Miłośników Historii

Rynek St. Miasta 29/31

4-100

Z powrotem

*[Signature]*



## 1/2. KORESPONDENCJA I AKTA DOKUMENTUJĄCE DZIAŁALNOŚĆ KONSPIRACYJNĄ RELATORA

- Oświadczenie świadków: H. Czerwca, W. Wojtkowskiego, E. Redela dot. działalności konspiracyjnej A. Rebandel, W-wa 1960, mps, rkps, kopia, k.1, s.1.
- Zaświadczenie weryfikacyjne, Londyn 1985, mps, rkps, kopia, k.1, s.2.
- Legitymacja odznaczenia Medalem Wojska nr 37027, Londyn 1948, mps, rkps, kopia, k.1, s.3.
- Legitymacja odznaczenia Krzyżem AK, Londyn 1985, mps, rkps, kopia, k.1, s.3.
- Oświadczenie świadka S. Skwątowskiego, [b.d.], mps, rkps, kopia, k.1, s.4





3/2/17

Warszawa, dnia 30.IV.1960 r.

O s w i a d c z e n i e

Oświadczamy, że znana nam osobiście ob. Helena Kapustowa pseudonim "Julia" ur. 1.III.1904 r. w Warszawie, córka Jana i Marianny Wylezińskich brała czynny udział w organizacjach podziemnych Z.W.Z., później A.K. w walkach z okupantem niemieckim od 1940 do 1944 roku, oraz w Powstaniu Warszawskim na Woli, Kampinosie i Żoliborzu.

Ob.Helena Kapustowa w okresie okupacji w swoim domu prowadziła punkt sanitarny dywersji i miejsce zbiórek do ćwiczeń dla Szkoły Podoficerskiej i dla odpraw dowódctwa kompanii "Mat", oraz magazynowała w swoim domu przenoszoną przez nią broń i amunicję.

Godne jest nadmienienia, że w Kompanii "Mat" byli zwerbowani przez "Julię": jej córka pseudonim "Lina" ur.2.VI.1924r. w W-wie i syn pseudonim "Szczepan" ur.2.XI.1925r w W-wie, którzy w czasie konspiracji byli kolporterami prasy podziemnej, a "Lina" z uwagi na wtajemniczenie przepisywała na maszynie tajne sprawy.

Dzieci ob.Kapustowej i zięć pseudonim "Wład", który poległ w walkach w akcji powstańczej chlubnie walczyli, dając przykład swoim młodszym towarzyszom broni.

I. ob.Czerwiec Henryk pseudonim "Jaskółski" zam. w Irabelinie, ul. Prądzuskiego 12 Nr.dow.osob.W.O.A.122249 wyd.przez K.M.M.O.W-wa Miasto...

*Cherwin*  
Nr. leg. Z.B.O.W.D.  
1315/W-wa Żoliborz

II. ob.Wojtkowski Władysław pseudonim "Wojtył" zam.w W-wie ul. Mickiewicza 12 m.6 Nr.dow.osob.W.O.A.461751, K.M.M.O. W-wa

*Dr. Projtkowski*  
Nr. leg. Z.B.O.W.D.  
38528 W-wa Żoliborz

III. ob.Redel Edward pseudonim "Lot" zam. w W-wie, ul. Wspólna 57 m.2 Nr.dow.osob.B.C.W.O. 13704, K.M.M.O. Gdańsk

*Redel*  
Nr. leg. Z.B.O.W.D.  
1314/W-wa Żoliborz







1/2/2

**KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ**  
**POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION**  
240, KING STREET, LONDON, W6 0RF

Londyn - 02.08.1985 r.

L. dz. 11059/85.

Our ref.

Z A S W I A D C Z E N I E    W E R Y F I K A C Y J N E

(Wyciąg z akt personalnych)

**REBANDEL - SOLECKA Anna - urodz. 02.06.1924 r. w Warszawie.**  
Córka - Stanisława i Heleny

Sanitariuszka A.K.

Pseudonim: "Lina"

Przydział: Okręg A.K. Warszawa.

Odbyła służbę wojskową w szeregach: Z.W.Z. - A.K.

Przebieg służby:

- 01.1940 - 01.1940 - Zaprzysiężona w Warszawie na Woli.  
31.07.1944 - Przydzielona do Oddziału "Mata" na Woli. Po przeszkoleniu ukończyła Kurs Sanitarny. Pełniła funkcję łączniczki i sanitariuszki.  
01.08.1944 - 03.09.1944 - Czynny udział w Powstaniu Warszawskim w Śródmieściu. Przydzielona do Komp. "Osa" w Zgrupowaniu "Kiliński" - "Parasol". Walczyła na Woli - Plac Karcelego - Leszno i Stare Miasto. Pełniła funkcję sanitariuszki.  
03.09.1944 - 01.1945 - Zagarnięta przez Niemców przez Pruszków wywieziona do Opoczna.

-----  
Odznaczenia:    Medal Wojska  
-----

Za zgodność:

  
GŁÓWNA KOMISJA WERYFIKACYJNA A.K.

Czeki i przekazy pieniężne prosimy wystawiać na: Polish Home Army Ex-Servicemen Association





1/2/4

### Oświadczenie

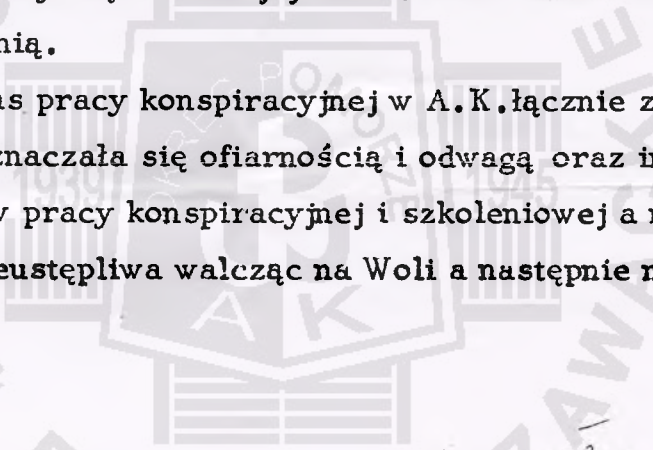
Ja niżej podpisany Stanisław Skrętowski st. sierż. rez., ps. "Batory" zam. w Warszawie przy ul. Wrzeciono 17 m 74 oświadczam, że Ob. Annę Rebandel ps. "Lina" poznałem wiosną 1940 r.

W/w była łączniczką i sanitariuszką na wypadek dywersji plutonów 302, 303 i 304, oraz wchodziła w skład drużyny dowódcy Kompanii por. "Mata" Kazimierza Młodnickiego, Rej. I Obw. III Warszawa-Wola. D-cą I Rej. był por. "Bato" Stanisław Gabryszewski, D-cą III Obwodu był mjr "Waligóra" Jan Janowski.

Ob. Anna Rebandel zajmowała się kolportażem prasy oraz przepisywała na maszynie tajne rozkazy i instrukcje dla Szkoły Podoficerskiej, gdzie wykłady i szkolenia odbywały się w domu jej matki. Brała także udział w zajęciach praktycznych z bronią.

Przez cały czas pracy konspiracyjnej w A.K. łącznie z udziałem w Powstaniu Warszawskim, odznaczała się ofiarnością i odwagą oraz inicjatywą.

Brała udział w pracy konspiracyjnej i szkoleniowej a następnie wykazała się jako odważna i nieustępliwa walcząc na Woli a następnie na Starówce w bat. "Parasol".



*Stanisław Skrętowski  
był d-cą III Rejonu  
plutonu 302 A.K. ps. "Batory"*

*Za zgodnicie podpisem*

VICEPREZES  
Kole Nr 1 ELŻBIETA Warszawa-Wola

*Jan Mazze*  
**JAN MAZZE**

ZWIĄZEK BOJOWYCH  
WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA  
ODDZIAŁ WARSZAWA - ELŻBIETA  
KOŁO Nr 1  
ul. Górczewska 5/7/9  
tel. 32-35-74  
01-189 WARSZAWA



1/3. MATERIAŁY UZUPEKNIAJĄCE

- A. Solecka, Moje powstanie, [b.d.], mps, kopia, k. 21, s. 1-21.



Anna SŁECKA

7/3/11

M O J E P O W S T A N I E





2/3/2

Anna Rebandel-SOLECKA  
"Lina"



"5W"

Była godzina 6 rano, gdy otworzyłam oczy. Co też mam dziś do roboty? Chyba nic ważnego. Słońce ładnie świeci może pójdziemy

z Władkiem gdzieś na spacer. Ale teraz można jeszcze trochę pośpać. Władek do pracy nie idzie chociaż to dziś... co to dziś? Acha, wtorek, 1 sierpnia. No tak, wtorek, ale on od przeszło tygodnia nie chodzi do pracy. Poszeptuje się o powstaniu i wszystkich pozwalniali. Ale kiedy wreszcie będzie to powstanie?

Wstaliśmy o godz. 8-ej. Otworzyłam balkon żeby trochę przewietrzyć pościel i wzięłam się za sprzątanie. Władek poszedł się myć. Stałam na balkonie. Ależ dziś piękna pogoda! A jaki ruch na ulicy. Wszyscy widocznie już od rana korzystają ze słońca. Z kuchni doszedł mnie głos Władka:

- Nusi! Nakryj do stołu. Śniadanie już gotowe.

Śniadanie przygotowała oczywiście Fela, Władka siostra, z którą razem mieszkaliśmy.

Około godz. 10-ej usłyszałam, że ktoś woła mnie po imieniu z ulicy. Wyjrzałam, był to mój kuzyn Jurek, który przyszedł zaprosić mnie i Władka w imieniu mojej Matki na obiad do Niej.

Poszliśmy tam zaraz po śniadaniu.

- Coż to za święto mamusi, że zapraszasz nas na obiad?

- Nie święto moja droga. Poszeptują, że jada dzień ma wybuchnąć powstanie, więc zabiłam kurę, porzadawałam kurczaki - bo co nam po nich jak pójdziemy do akcji?

Mój Boże. Moja kurka zabita. I kurczaków już nie zobaczę. Obiadu oczywiście nie mogłam jeść. Rosół wprawdzie bardzo lubię i kurę z rosółu też, ale ta to przecież moja pupilka, pierwsza w życiu. Nie mogłam jej jeść. Nie dokończyliśmy obiadu, gdy wszedł jakiś nieznajomy, młody mężczyzna, który chciał rozmawiać z panią "Julią". Spojrzeliśmy po sobie. Najpierw ja na Matkę, matka na p. Kubickiego ("Sulima"), p. Kubicki na Władka, Jurka i Ryśka (mojego brata).

Matka wyszła z nieznajomym młodzieńcem do przedpokoju. Po chwili wróciła zmieniona na twarzy, trzymając w ręce niedużą kartkę papieru i w milczeniu pokazała nam jej treść. Czerwonym ółwkim napisane były tylko dwa znaki: "5W". Wiedzieliśmy co to znaczy. Dziś o godz. 17 ej (5pp) rozpoczynamy walkę. Czułam, że krew odchodzi mi od twarzy. Dłuższą chwilę milczeliśmy, każdy zajęty był swoimi myślami. Pierwszy odezwał się "Sulima".

- Tak, więc jednak powstanie. Trzeba było by zawiadomić resztę "naszych" gdzie i kiedy, to znaczy o której godzinie mamy się zebrać. My zbieramy się w Górkach - tylko trzeba ich uprzedzić. Spojrzałam na Władka. Zrozumiał moje nieme pytanie i zapalając papierosa rzekł:

- A my chyba pójdziemy zawiadomić moich kolegów. Napewno chłopaki nie jeszcze nie wiedzą.

Co miałam robić? W czasach naszego narzeczeństwa on należał do innego zgrupowania (bat. "Kilińskiego") ja do innego - Rej, I Obw. III Warszawa-Wola pod dowództwem ojca "Waligóry". Teraz trzeba było zdecydować się czy iść ze swoją kompanią, do której należą już przeszło 4 lata czy iść razem z Władkiem do jego plutonu.

"Sulima" widząc, że nie mogę zdecydować się, jako mój zwierzchnik przyszedł mi z pomocą.

- No cóż odpowiedział - gdzie ty Kajus tam ja Kaja. Niech Pani idzie z mężem.

I poszłam. Pożegnanie nasze wypadło jakos sztucznie.



113/4

Zdawaliśmy sobie sprawę, że może widzimy się poraz ostatni a nie chcieliśmy roztkliwiania. Staliśmy się już żołnierzami. Cboje z Władkiem podeszliśmy najpierw do Matki, ucałowaliśmy ją, później z "Sulimą" (także ucałowaliśmy się) następnie z Ryskiem i Jurkiem. Powiedziałam nawet do niego, że już napewno nie wróci teraz do domu żeby powiadomić swoją matkę a on odrzekł, że idzie od razu do akcji a matka jego napewno domyśli się, że poszedł z cinią (moją Matką). Odchodząc powiedzieliśmy jeszcze wszystkim - bądźcie zdrowi i trzymajcie się mocno - i wyszliśmy.

### Pierwsze Kroki

Pierwsze kroki w celu zawiadomienia kolegów, że o godz. 5pp zaczynaemy walkę, skierowaliśmy na ul. Wolską. "Gryfa" zastaliśmy w domu. Z nim razem szła "Ewa", którą znałam z kursu sanitarnego, na który razem uczęszczaliśmy. Poszliśmy więc do Tadek Wójcikowskiego (Tadek) który miał iść z Lilką - ale nie zastaliśmy go. Podobno pojechał już na Ochotę, gdzie był nasz punkt zborny. Na ulicach jawnie już zbierano się. Atmosfera stawała się coraz bardziej gorąca. Szukając dalej naszych kolegów znaleźliśmy się w jednym z domów przy ul. Młynarskiej (między Górczewską a Wolską). Tam było już kilku znajomych i kolegów Władka. Zanim jednak wyszliśmy szukać dalszych rozległy się pierwsze strzały. Nie wiedzieliśmy z początku co to znaczy bo 17-ej jeszcze nie było. Dopiero po kwadransie wpadło kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy zobaczywszy większą ilość zgrupowanych ludzi w jednym pokoju, zarządzali od nas wyjaśnienie ~~na~~ kto my jesteśmy. Gdy okazało się, że to byli AK-owcy ze zgrupowania "Parasol", który wywodził się ze zgrupowania "Szare Szeregi" itak jak my wchodził w skład zgrupowania "Kilińskiego", ~~z~~ wówczas padliśmy sobie w objęcia. Dowiedzieliśmy się, że powstanie już się zaczęło i nie możemy więc do miejsca swego zgrupowania t.j. na Ochotę. Musieliśmy przyłączyć się do nich - bo ostatecznie wszystko jedno gdzie będziemy bronić Warszawy - na Ochocie czy na Woli. W pierwszym rzędzie zachodziła konieczność kopania ~~XXXXXX~~ barykad zaczęliśmy więc wspólnymi siłami najpierw usuwać kamienie z jezdni na ul. Młynarskiej w pobliżu ul. Górczewskiej ale okazało się, że ~~nie~~ jest nas za mało. Umówiliśmy się z "Ewą", że pójdziemy na poszukiwanie kilku chętnych do pomocy. Pod ochroną domów (kule latały dość gęsto) dotarliśmy do ul. Staszica. Może poszły byśmy dalej gdyby nie warkot nadlatującego samolotu. Schowaliśmy się do jednej z bram dosłownie w ostatniej sekundzie, gdyż samolot ten zrzucił bombę która upadła na jezdnię nieomalw tym miejscu w którym przed chwilą staliśmy. W napięciu nerwów czekaliśmy (było nas na klatce schodowej z 15 osób) na dalsze bomby - ale jakos nie padały. Prawdopodobnie Niemcy nie chcieli bombardować tej ulicy w obawie o swoich ~~K~~ żołnierz, którzy byli bodajże w pobliskiej szkole Wawelberga, pałacu Mühla, na ul. Tyszkiewicza. W pewnym momencie "Ewę" poniosły nerwy i szybko wyciągnęła z kieszeni mały rewolwer (5-kę) i krzyknęła kierując go w stronę grupki mężczyzn: - Jazda stąd! Prędko! Dokopania okopów! Stałam tam jak wryta. Czy ona zwariowała? Przecież chyba nie strzeli? Chciałam zapać ją za rękę i powiedzieć żeby się opanowała, gdy z grupy wystąpił jeden z mężczyzn czerwony z gniewu. Stał przed nią wyzywająco mówiąc: - A ty gówniaro nie wiesz gdzie należy wstępować z bronią?! Tu, do swoich?! Masz cholero! - krzyknął wymierzając jej siarczysty policzek. "Ewa" bez słowa zawróciła w stronę bramy i wychodząc na ulicę po drodze chowała swoją "5-kę" do kieszeni. Wbiegłam za nią nie wiedząc za kogo bardziej wstydzić się - za "Ewę" czy za tego mężczyznę który ją uderzył. Do "naszego" okopu doszliśmy bez słowa. Z boku obserwowałam tylko jak lewy jej policzek zaczyna powoli zmieniać kolor - najwyraźniej znać było na nim ślady czterech palców. W okopie podczas naszej nieobecności zrobiło się aż gęsto



od chętnych do kopania barykady. Jedni kopali coraz głębiej rów wzdłuż ul. Żytniej inni znosili (nie wiem nawet skąd) podkłady kolejowe, podając tym którzy stali bliżej nie parzystej strony ulicy. Kto silniejszy umacniał tymi podkładami ściany naszego okopu. Aż furczało od pośpiechu. W pewnym momencie podeszłam niefortunnie za blisko "odbieracza" belek, który nie widząc mnie, tak machnął jedną z nich że uderzył mnie w brzuch. Zachwiałam się na nogach. Władek podbiegł do mnie odprowadzając na stronę i robił mi wymówki, że jestem taka nieuważna a poza tym, że względu na mój stan, powinnam być dalej od tego rodzaju prac. Słuchałam jednym uchem gdyż w głowie miałam straszny szum a w oczach okop "chwiał" się na wszystkie strony. Całą siłą woli opanowałam mdłości i pracowałam normalnie przy kopaniu barykady aż do zmroku. Do domu - chociaż mieliśmy bliskość tego dnia nie wróciliśmy. Postanowiliśmy skorzystać z zaproszenia kolegi Knapiuka "Szary" i przenocować w jego mieszkaniu przy ul. Młynarskiej 25 a na jutro dołączyć do pierwszego napotkanego plutonu. Tak też zrobiliśmy. My z Władkiem spaliliśmy na jednym łóżku "Ewa" z "Gryfem" na drugim. Reszta kolegów - na podłodze. Ale nie sądzono mi było spać tej nocy. Po pierwsze dlatego, że strasznie gryzły mnie pluskwy które łapałam w palce i oddawałam Władkowi a on nie wiedząc co z nimi robić - rzucał poprostu na podłogę. Po drugie wrażenia dnia dzisiejszego przesunęły się w myśli jak na ekranie i leżąc z rękami pod głową całą noc snutałam wspomnienia.

#### Wojna 1939 r. i okupacja.

13 września 1939 r. miałam pierwsze straszne przeżycie. Spalił się nasz dom. Ratowaliśmy go wprawdzie a ja o maty włos nie zginęłam w pożarze ratując różne sprzęty i tylko ktoś - nie wiem do dziś kto ponieważ byłam nieprzytomna - wyniósł mnie z płonącego domu. Jakiś czas mieszkaliśmy w sąsiednim domu w suterenie. Nie mogliśmy szukać mieszkania nigdzie dalej, ponieważ musieliśmy być w pobliżu ogrodu w którym zostały duże wartości w kwiatkach, inspektach i cebulkach kwiatowych. W marcu 1940 r. przeprowadziliśmy się na ul. Listopadową Nr 3. Brat Matki został na miejscu a my mieliśmy teraz znów własny dom z dość dużym ogrodem. Któregoś dnia brat mój Ryszard, przyprowadził do domu p. Wolskiego (tak wówczas nazywał się p. Kubicki), który czasami przynosił nam do czytania prasę podziemną. Po kilku miesiącach wystąpił z propozycją zorganizowania u nas "Punktu Konspiracyjnego". Warunki były idealne. Samotny domek z ogródkiem, w którym mieszkała samotna kobieta z dwójkiem dorastających dzieci nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Zaraz więc posadziliśmy naokoło domu stonczniki, między nimi zostawiliśmy polanki (wolne miejsca) przeznaczone do rozdzielania prasy, czyszczenia broni itp. Jeśli chodzi o broń to miała u nas specjalną kryjówkę, zaciszna budka z n-rem "CC" miała jedną odsuwaną deskę od strony śmietnika. W śmietniku tym zasypana była obłrzymia bańka po mleku, w której otwór dotykał tej właśnie ruchomej deski. W bańce tej przechowywaliśmy broń krótką i granaty oraz prasę po którą tego dnia nikt nie zgłosił się, tak, że w mieszkaniu nie było żadnych obciążających dowodów. Nazwiskami nie operowaliśmy wogóle. Pan Wolski miał pseudonim "Sulima" a nasze pseudonimy zdałyśmy na los kalendarza, t. zn. wybierając pseudonim dla naszej Matki "Sulima" stworzył kalendarz i jakie imię było na tej kartce, taki miała przyjąć Matka. Wypadło Julii więc taki pseudonim zatwierdzony był salwą śmiechu. Została "Julią". Mnie wypadło "Lina" a bratu "Szczepan". Tego dnia odbyła się przysięga i "oblewanie" w postaci wystawnego obiadu. Z czasem dowiedzieliśmy się, że "Sulima" był poszukiwany przez władze okupacyjne i ukrywał się a za jego głowę Niemcy dawali 100 tys zł. U nas miał świetną kryjówkę. Humor dopisywał nam bez przerwy. Czasem gdy Matka musiała jechać w teren (w jedną stronę zawoziła prasę lub broń) do Tatarczyska a spowrotem "szmugiel". Ja chodziłam do szkoły średniej, a brat zajmował się domem wraz z "Sulimą". W domu naszym



było teraz rojno i gwarno. Jak tylko otrzymywaliśmy prasę, rozdzielaliśmy ją dla poszczególnych odbiorców, którzy zgłaszali się po nią po obiedzie. Przychodzili p.p. "A", "B" i "C" a resztę zanosił na ul. Krzyżanowskiego do p. Żmiejski ps. "Żmija". Z p. "A" znał się najlepiej, miał ps. "Grom" i był bez prawej ręki. Przychodził do nas często na pogawędkę a latem opalał się w naszym ogródku. lubiliśmy go bardzo. Z czasem nasz Punkt rozwinął się, gdyż oprócz rozdziału prasy była teraz szkoła dla podoficerów, zajęcia praktyczne z bronią oraz Punkt Sanitarny na wypadek dawersji. W związku z tym ukończyłam tajny Kurs Sanitarny, który prowadził por. "Want". Dla Szkoły przepisywałam ~~kajna~~ na maszynie tajne instrukcje. Obok naszego domu był dom przechodni w którym znajdował się podobny punkt konspiracyjny, lecz nie Armii Krajowej ~~lecz~~ Armii Ludowej. Wiedzieliśmy nawzajem o sobie, lecz na wszelki wypadek maskowaliśmy się. I tak na przykład gdy pisałam instrukcje na maszynie - w oknie stawiałam patefon, który grając zagłuszał stukot maszyny. Po odprawie odprowadzaliśmy "chłopców" szumnie, jak po imieninach. Po kursie dla najmłodszych - zajmował się nimi brat, odprowadzał ich jak kolegów po zabawie. Miałam wówczas 16 - 17 lat a brat był o 1 rok młodszy. Mogliśmy więc stwarzać pozory, że przychodzą do nas koledzy z którymi bawimy się wesoło. Przychodził do nas także "Wład" jako mój narzeczony oraz jego koledzy, którzy zapoznawali się u nas z bronią. Jednak zdarzyło się i tak, że ktoś musiał nas podpatrzeć. Było to po tym incydencie kiedy udzieliliśmy zbiegowi pomocy po akcji na cmentarzu powązkowskim. A było to tak: około południa usłyszałyśmy z Matką strzały dochodzące od strony cmentarza, od ul. Ostroroga. Wybiegłyśmy więc zobaczyć co się tam dzieje ale niewiele można było zorientować się. Ulica Ostroroga była zupełnie pusta a od parkanu cmentarnego biegł jakiś mężczyzna w czarnym płaszczu. Za nim goniły kule karabinowe. Stanęłyśmy aby go zatrzymać, nie zastanawiając się nawet, czy kule mogą dolecieć do nas czy nie. Niezadowolonego złapałyśmy dostownie w objęcia, wzięłyśmy pod ręce i zaprowadziłyśmy do domu. Tam matka pomogła mu rozebrać się, naszkowała mu miednicę z wodą i po umyciu się oraz krótkim odpoczynku wyprrowadziłyśmy go inną furtką aż do ul. Płockiej. Miał przy sobie broń którą nawinęłyśmy w płaszcz i przez jakiś czas niostłyśmy ją na zmianę. Kto to był - nie wiem do dzisiaj. W każdym razie napewno to rzucało się w oczy udzieliliśmy mu pomocy a ludzie z sąsiednich domów widzieli całe to zajście ze swoich okien. Trzeba było z tym coś zrobić zwłaszcza, że Matka ratując kogoś z Trebłinki, zaplątała się (nie ze swojej zresztą winy) w grupę history i siedziała jako zakładniczka w domu gestapowca o nawisku Deumeland. W tym okresie będąc bez Matki, poszłam do Domu Dziecka na ul. Freta pracować jako wychowawczyni młodszej grupy, podobnie i mój brat poszedł także do pracy ~~xxx~~ dlatego przez jakiś czas nasz Punkt był prawie nieczynny. Po paru jednak miesiącach wszystko jakos ukłóżyło się tak, że wszyscy wróciliśmy do domu kontynuując pracę podziemną. W czerwcu 1944 r. mieliśmy dramatyczną przygodę. Będąc o 6-iej rano na podwórku (karmiłam kury i kurczęta) zauważyłam, że ktoś usiłuje otworzyć furtkę z zasuwki aby wejść do ogródka. Wbiegłam do pokoju i zaczęłam budzić brata i jego kolegę, który spał tej nocy u nas (Matka wyjechała w teren więc brat zaprosił kolegę żeby nas było więcej a więc i raźniej). Myślałam, że to złodzieje którzy wówczas współpracowali z t.zw. bienami cmentarnymi, ale brat nie obudził się a ku memu przerażeniu zauważyłam, że przed oknem przesuwają się uzbrojone postacie Niemców. Było ich 9-ciu. Przypadkowo wzrok mój padł na stolik stojący tuż przy oknie i o zgrozo - zobaczyłam na nim plik biuletynów, które prawdopodobnie brat zapomniał poprzedniego dnia schować do kryjówki. O schowaniu ich w tej chwili nie mogło być mowy. Momentalnie schwyciłam kapę z łóżka i rzuciłam na stolik - Niemcy byli już w mieszkaniu. Stało się to tak błyskaw-



11/3/7

wicznie, że zanim zorientowałam się że już są zobaczyłam dziewięć "Bergmanów" wycelowanych w naszą stronę i usłyszałam krzyk:

- Stać! Ręce do góry k... a wasza mać!

Jeden z nich (wczarnym płaszczu) mówił po polsku. Brat z kolegą Stefanem stanęli nieprzytomni przy tapeczanie, ja natomiast koło łóżka. Nie mogłam sobie jednak poradzić z niezapiętym szlafrokiem który rozchyłał się ukazując nocną koszulę. Usiłowałam jedną ręką przytyszywać szlafrok a drugą trzymać podniesioną do góry, ale nie udało mi się to ponieważ Niemcom nie podobało się, że tylko jedną rękę trzymam w górze. Zaczęły się pytania i odpowiedzi.

- Gdzie on jest?

- Kto?

- Ten co tu mieszka. - Serce zaczęło mi walić coraz mocniej, gdyż domyślałam się, że chyba chodzi tu o "Sulina" a przecież nie wolno mi było go wydać, pomocnym był mi fakt że "Sulina" nie był u nas zameldowany - więc postanowiłam grać va banque - tylko głos mi się trochę załamał.

- Tu żaden on nie mieszka.

- A kto tu mieszka?

- Matka, brat i ja.

- A gdzie matka?

- Pojechała na handel.

- A który to brat?

- Ten niższy.

- A ten drugi kto?

- Kolega nasz, z którym znamy się od małych dzieci.

- A co on tu robi?

- Ponieważ baliśmy się sami spać, zaprosiliśmy go na noc.

- Ale tu mieszka jeszcze mężczyzna.

- Żaden mężczyzna tu nie mieszka.

Teraz Niemcy zaczęli rozmawiać ze sobą po niemiecku a ja nie wydając się że znam ten język pilnie nadśtuchiwałam, usiłując jednocześnie oddalić się nieco od stolika, na którym leżała nieszczęsna prasa. Tymczasem Niemiec w płaszczu tłumaczył naszą rozmowę pozostałym żołnierzom i jeden z nich zaproponował mi aby zapytał nas o nazwę ulicy i numer domu.

- A jak tu jest ulica?

- Listopadowa.

- A numer?

- Trzy.

- Dlaczego trzy? Przecież numer jest 14/16, więc tu powinien być inny. (ale nie powiedział jaki)

- Nie, tu jest numer trzy.

- A dlaczego nie ma tabliczki z numerem na bramie?

- Nie wiem. Jak tu sprawdziłismy się to już jej nie było. Nie musiałam przecież tłumaczyć, że zdjęta była po to, aby przychodzący do nas nie wiedzieli (na wszelki wypadek) jaki jest tutaj numer, lecz pomalutku zaczęło mi świtać w głowie. Ten w płaszczu tłumaczył znowu swoim kolegom treść naszej rozmowy, a najwyższy rangą kazał mi zapytać nas czy jest jeszcze gdzieś dalszy ciąg tej ulicy. Więc to chyba pomyłka - pomyślałam - to jednak nie "Sulina" poszukują. Poczuli pod nogami mocz, grunot.

- A gdzie jest dalszy ciąg ulicy Listopadowej? - pytał dalej

- Nie wiem.

- Jak to nie wiem! - mieszkacie na tej ulicy i nie wiecie gdzie jest jej dalszy ciąg?

- Jak pan widzi - odpowiadam już całkiem spokojnie - ta ulica z tej strony Obozowej jest "ślepa". Z tamtej strony Obozowej jest puste pole. My mieszkamy tu niedawno więc naprawdę nie wiem - kłamałam oczywiście wiedziałam bowiem, że dalszy ciąg naszej ulicy był z lewej strony "Szubieli" (tak nazywa się jeden z domów) i dochodził do nasypu kolejowego.



- A może któryś z was wie gdzie jest dalszy ciąg waszej ulicy?- zwrócił się do obcokrajowców.

-Ja wiem - odpowiedział Stefan- ona idzie przez pole.

- W takim razie ubieraj się i pójdziesz z nami.

Krew uderzyła mi do głowy. A jak go zabiorą dalej co matka powie? Jakież on dumny, po co powiedział...

Niemcy zaczęli pomagać wychodzić z mieszkania a ten w płaszczu czekał na Stefana. Gdy wyszli, jeden z nich zawrócił od furtki i -o dziwo- przemówił do mnie po polsku.

- To jest jednak nie możliwe żeby tu był numer 3 kiedy ten dom obok ma numer 14/16 - niemal krzyczał.

- Niestety to prawda, że tu jest numer 3 - odpowiedziałam też podniesionym głosem - niech mi pan nie zarzeka kłamstwa. A wogóle to co to za wyzwywanie ludzi którzy mają pretensję do kultury, przychodzić o godz. 6 rano z wycelowaną bronią do niemal dzieci i wymyślać od k...a maci. To nawet bardzo kulturalnie. A teraz jeszcze zarzeka się kłamstwa. Niemiec zmierzył mnie od stóp do głowy, uśmiechnął się i wyszedł obiecując, że jeszcze sprawdzą to co powiedziałam. Wyszedł przed bramę. To co zobaczyłam obwodziło mnie na doniosłość chwili. Cała ulica Listopadowa zatłoczona była samochodami ciężarowymi pierwszymi żołnierzy-podobnie było na ul. Cbozowej. Byliśmy więc -nie wiedząc o tym- obstawieni bardzo dokładnie. To jednak musiała być jakaś grubsza sprawa. W międzyczasie Stefan doszedł z Niemcami na połowę drogi przez pole, pokazał im poszukiwaną ulicę i wracał w naszą stronę. Użył mi gdy to zobaczyłam. Samochody z zaś zaczęły powoli posuwać się także we wskazanym kierunku a za chwilę rozległy się strzały. Były dość gęste ale nie mogłam zorientować się czy jednostronne czy też była to wymiana. Podobno ktoś tam uciekał a oni gonili go strzelając, na szczęście bez efektu. A my byliśmy bohaterami wielu następnych dni. Została nam na przyszłość nauka, że prasę należy chować "od ręki" bo chociaż to była pomyłka - co by było gdyby Niemcy zobaczyli ją na stoliku? Nie uszło by nam "na sucho".

Innym razem szliśmy "Sulima", "Wład" i ja na Koło. Od bramy zawróciły nas odgłosy strzałów dochodzące od ul. Cbozowej a w kilka minut później zauważyliśmy biegnących ul. Czarnecką w kierunku ul. Ostroroga kilku mężczyzn i... cisza. Oczekaliśmy jeszcze z 5 minut i wyszliśmy na ul. Cbozową. Iusto na niej był jak wymiotti a ponieważ nie się nie działo ruszyliśmy w stronę Koła. Dochodząc do ul. Św. Stanisława zauważyliśmy pod ogrodzeniem fabryki "Compensator" leżącego mężczyznę. Podbiegliśmy aby w razie potrzeby przetransportować go do naszego "punktu" i udzielić pomocy (byłam przecież sanitariuszką). Nieznajomy był średniego wzrostu, szatyn, nosił okulary krótkowidza w czarnej oprawie oraz czarny gumowy płaszcz pod którym wyraźnie rysowała się długa broń. Zdjęłam mu okulary i podniosłam powiekę ale niestety pomoc nie była już potrzebna. Chcieliśmy chociaż zabrać dowody i to co miał pod płaszczem ale w tym momencie usłyszeliśmy sygnał nadjeżdżającego samochodu żandarmerii, t.zw. "Budy". Samochód był gdzieś koło cmentarza ewangelickiego gdyż-jak spojrzałam w tamtą stronę-nie było go jeszcze widać z za zakrętu ul. Cbozowej. Chwyciłam obu moich panów pod rękę i ruszyliśmy normalnym krokiem w kierunku Koła. Idąc dostrzegłam na jezdni leżącą dużą paczkę owiniętą w szary papier i związaną sznurkiem. Zwróciłam na to uwagę, że może to być bomba zegarowa. "Sulima" zaprzeczył ale wiedziałam, że także jest o tym przekonany. Idąc zastanawialiśmy się czy zacząć do nas strzelać czy nie, sytuacja bowiem była bardzo dziwna. Ulica zupełnie pusta, pod murem zabity człowiek z dowodami obciążającymi, w pobliżu na jezdni bomba zegarowa - i nasza trójka idąca jakby nigdy nic. Żandarmi zatrzymali się przy zabitym a my nie oglądając się czuliśmy już kule na plecach - ale nie przyspieszyliśmy kroku i nie obejrzelismy się nawet. Użył nam dopiero gdy znaleźliśmy się za ul. Wawrzyszewską gdzie ul. Cbozowa skręca w



lewo, skąd żandarmi nie mogli nas już widzieć. Nie słyszeliśmy także aby nas gonili - byliśmy więc bezpieczni. Przyspieszyliśmy kroku i ocierając pot z czoła i już po godzinie siedząc u Władka brata (zamieszkałego przy ul. Bolecha 43) usłyszeliśmy silną detonację. Teraz wiedzieliśmy napewno, że to była bomba zegarowa, którą w tej chwili żandarmi wysadzili. Po powrocie w to miejsce gdzie leżała poprzednio na jezdni, ujrzeliśmy ogromny lej, w górze sterczące szyny tramwajowe a w okolicznych domach nie było ani jednej szyby. Coraz częściej miały miejsce tego rodzaju wypadki. Doszliśmy do wniosku że chyba powstanie jest nie uniknione. Pamiętam kiedyś gdy w kwietniu likwidowali getto patrzyliśmy z Matką na słupy ognia wydobywające się z płonących domów, nieprzerwany klekot karabinów maszynowych słychać było po całych dniach a samoloty latały jak szarańcza kończąc dzieło zniszczenia. Matka moja spytała mnie wtedy "Jak myślisz, co z tego wszystkiego wyniknie?" a ja odpowiedziałam "No cóż, skończą z nimi - zaczną z nami". Czyżow tak miało być rzeczywiście? Ano wola boska, co będzie to będzie, i tak leżąc przypominałam sobie jeszcze inne wypadki, jak przenosiłyśmy z Matką prasę a po drodze zawiałyśmy się "strzelaniem" pestkami od czereśni do żandarmów idących przed nami i oawilo nas to, że jak wcelowałyśmy w hełm, żandarmi oglądali się na wszystkie strony a my idąc dalej robiłyśmy niewinne miny. Albo jak w karecie, którą jechaliśmy z Władkiem do śluu przewożono broń albo fabrykacja bomb, które produkował "Sulima" a później chodziliśmy z tymi butelkami na t. zw. Glinki i tam sprawę dzał ja ich jakość. Wyśla am wreszcie o Matce, która poszła wraz z bratem do akcji a ich punkt był w Górcach u "Fordal". I znowu ci wszyscy inni - kuzyn mój Jurek, "Mat", "Sulima", "Tarczyc", "Grom" "Blondynek", czy jeszcze kiedyś zobaczę się z nimi. Wprawdzie obiecywaliśmy sobie, że powstanie potrwa najwyżej 5 dni - bo przecież armia radziecka jest tuż pod Warszawą i najwyraźniej widać było popłoch w szeregach niemieckich. Ale nawet przez te 5 dni wiele ofiar paść może.

Zaczęło świtać. Nasi towarzysze poma uoudzili się, pluskwy przestały dokuczać jakgdyby zorientowały się, że trzeba zostawić nam trochę krwi. Bierając się wszyscy rozumieliśmy co nas czeka tego dnia. Po paru minutach przyszedł do nas jakiś nieznajomy młody mężczyzna i po krótkiej naradzie z nim jeden z kolegów, "Polus", spytał, czy nie mamy nic przeciwko temu, żeby dołączyć do zgrupowania "Parasol" pod dowództwem por. "Osy". Nam oczywiście obojętne było gdzie i z kim będziemy będziemy zgrupowani. Na Ochotę, do naszego a właściwie do plutonu w którym był "Wład" i tak nie mogliśmy dobrać. Tak więc zaprowadził nas ten młodzian na cmentarz ewangelicki do byłych koszar niemieckich, przerobionych chyba z jakiegoś domu starców czy czegoś w tym rodzaju. Okazało się, że jest tam już kilku znajomych "Włada". Był sierż. "Litwin" z żoną "Nuną" oraz z jej bratową i matym chłopcem oraz jeszcze kilku znajomych, których pseudonimów nie pamiętam. Z nami razem przyszedł "Gryf", "Ewa", "Szary", "Żbik", "Polus" - razem więc było nas chyba 9 osób. Por. "Osa" ucieszył się, że dołączyliśmy do jego plutonu. Zaraz na wstępie oznajmił nam, że włączeni zostaliśmy do IW komp. "Radostaw" baonu "Kiliński" 102 komp. por. "Osy". W tym samym budynku kwaterowali pozostali ze zgrupowania "Parasol". Byli to chłopcy wybrani chyba z wielu plutonów - wysocy, przystojni i uzbrojeni po zęby a do tego wszystkiego chęć walki poprostu ich rozsadała. Pierwszym naszym zadaniem tego dnia było szykowanie "zapałek". Samaliśmy co się dało - gzymsy drewniane, różne kotki i jakieś szpalty na patyki długości oko o 30 cm, na końcu których wbijało się gwoździe, okręcało się garstką woliny a na wierzch dla podtrzymania zakładało się kawałek szmatki. "Zapałki" te w czasie natarcia (którego spodziewaliśmy się w każdej chwili) maczało się w benzynie i rzucało pod czołg. To samo robito



II/3/10

się z butelkami z benzyną, Sanitariuszki na razie nie miały do roboty, więc uwijały się produkując te "zapalki". W pewnej chwili podszedł do mnie "~~Parasola~~" Pomidor" (od "Parasola") i prosił żeby mu zrobić "zapaleczkę" taką na "jasny gwint-jak cholera". Zrobiłam mu więc podwójną, t. zn. podwójna długość kija, podwójna ilość woliny i duża szmatka na końcu, ale zapowiedziałam, (oczywiście żartem), że jak nie spali czółgu tą zapalką to nie ma się pokazywać na oczy. Akurat w tej chwili przybiegł goniec do por. "Osya" z wiadomością, że na ul. Gibalskiego Niemcy atakują naszych czółgami. Tworzystwo poderwało się na nogi, zapali zapalki ile kto mógł i pobiegli w stronę ul. Gibalskiego. Nasi chłopcy poszli razem z nimi. Część sanitariuszek zabrano na miejsce akcji a inne pozostały na miejscu. Ja byłam między tymi drugimi. Denerowałam się bardzo o chłopców bo przez dłuższy czas od ul. Gibalskiego dochodziły odgłosy walki, że aż dudniło w uszach. Czułam, że tam odbywa się straszna masakra. I nie omyliłam się. Może po pół godzinie atak został odparty a skończyło się tylko na kilku rannych. "Pomidor" podszedł do por. "Osya" który właśnie opisywał w dzienniku zdarzenia dzisiejszego dnia, z zadowoleniem wytarł nos rękawem i powiedział "Panie poruczniku, melduję posłusznie, że koleżanka "Lina" zrobiła mi podwójną zapalkę i powiedziała żebym się jej na oczy nie pokazywał jak nie spalę tą zapalką czółgu. Melduję posłusznie, że jak jednemu zap... ikem to nawet nie drgnął tylko się spalił". Oczy błyszczały mu z zadowolenia jak to mówił. Por. "Osa" śmiał się a my razem z nim. W czasie pobytu na cmentarzu ewangelickim dostaliśmy od "Polusa" ponemieckie mundury ("Panterki") Jedna z koleżanek ("Japonka") po założeniu munduru podeszła do swego męża i powiedziała - "Zobacz Antos jaki ze mnie żołnierz - pamiętam ten moment tak wyraźnie i słyszę jeszcze dzisiaj te słowa. Po kilku dniach pobytu na cmentarzu ewangelickim dostaliśmy rozkaz przeniesienia się na ul. Leszno 96 - do Domu Miejskiego Kobiet. Pierwszy dzień przeszedł nam względnie spokojnie. Naloty samolotów powtarzały się często ale bomby padały gdzieś dalej. Drugiego dnia bomba zburzyła szotę przy ul. Leszno (koło pl. Kercelego) i tu dopiero miałyśmy pełne ręce roboty. Przy odgruzowaniu i przenoszeniu rannych i zabitych. Było to ludność cywilna, która szukała schronienia w tej szkole. Mnie przypadło w udziale transportowanie mężczyzny który miał roztrzaskaną głowę ale żył jeszcze, Na miejscu obejrzał go lekarz, zrobił mu zastrzyk i kazał zostawić na podłodze (innego miejsca już nie było). Człowiek ten, mając mózg nie-

II/3/11  
mał na wierzchu żył jeszcze-ale to była agonia. Podeszłam do niego od strony głowy, zebrałam ten mózg w garść i lekko włożyłam ~~z~~powrotem do ogromnej rany. Następnie przewiązałam bandażem i odmówiłam za jego duszę "wieczne odpoczywanie". Mężczyzna po chwili już nie żył. Drugim rannym był może 12 letni chłopiec ("Chłopczek"), który narzekał na nogi. Ubrany był w za duży garnitur i mówił dużo o sobie z wielkim ożywieniem, że był gazeciarzem, rodziców nie miał, poszedł do akcji bo chciał zemścić się na "Szwabach" za rodziców których oni zamordowali, przekradł się do "Szwabów" gdzieś na "Okopach" (prawdopodobnie chodziło tu o ul. Okopową) i korzystając z zamieszania w czasie natarcia powstańców "podiwanit" Niemcom karabin maszynowy i przerzucił go przez parkan na stronę powstańców. W czasie nalotu schronił się do szkoły i tam po eksplozji bomby "Coś" upadło mu na nogi. Rany żadnej nie miał i nie wiem co lekarz z nim zrobił, gdyż musiałam biec po dalszych rannych. Następną ranną była kobieta która wprawdzie nie była ranna ale nic nie widziała na oczy. Przyprowadziłam ją do lekarza który po obejrzeniu wziął jakiś drucik i zaczął go wciskać tej kobiecie w powiekę ponad gałkę oczną. Wym momencie zrobiło mi się tak jakos słodko w ustach a pokój w którym byliśmy zaczął się dziwnie chwiać. Dostrzegłam jeszcze tylko jak "Wład" z "Gryfem" wnosili kogoś na noszach i... zemdlalam. Ocknęłam się w bramie tego domu, kogoś mnie stał "Wład" i "Gryf" a jakaś pielęgniarka dawała mi krople. Zawstydziałam się okropnie, gdyż jak to: ja, która jestem sanitariuszką, która widziałam już tylu rannych i zabitych, która przed chwilą trzymałam ludzki mózg w garści - zemdlalam na widok cienkiego drucika którym lekarz manewrował przy oku. Straszny wstyd. I chociaż wszyscy radzili mi abym nie brała dalszego udziału w tej akcji - postanowiłam teraz właśnie zacząć działać. I rzeczywiście, dźwigałam rannych, opatrywałam dając im pierwszą pomoc, biegłam jak szalona tam i ~~z~~powrotem od bramy do szkoły, biorąc na siebie najcięższe przypadki. Nie czułam ani zmęczenia ani nie reagowałam na widok zmasakrowanych ciał ludzkich. Wieczorem natomiast zasnęłam jak susek i przespałam tę noc nie budząc się ani razu. Piątego sierpnia rano obudziłam się strasznie niespokojna i nie mogłam opanować się od paczu a "Wład" był tym bardzo zaskoczony bo pierwszy raz widział mnie p aczącą i nie wiedział jak zareagować. Zaczął więc uspakajać mnie głaszcząc po głowie i prosząc abym nie myślała o wczorajszych okropnościach i uspokoiła się. Ale to miało wręcz odwrotny skutek, tzy bowiem ciekły mi coraz rześstrze. Wreszcie zapytał co jest powodem tego "potopu". Szlochając opowiedziałam mu dzisiejszy sen, że poszliśmy do naszego mieszkania i nie mogliśmy nigdzie znaleźć Feli. W naszym pokoju był rozwalony p~~2~~c



11/3/12

a łóżko które stało tuż przy piecu - całe pokrwawione. Fela, która w międzyczasie "skądś się wzięła", poinformowała nas, że przez otwarty balkon wpadła odłamki bomby rozwalając piec, zabijając dowódcę jakiegoś tam plutonu AK, który spał na naszym łóżku. Fela czegoś bardzo płakała a my wyruszyliśmy na ul. Listopadową, zobaczyć co się dzieje u Matki. Ciężko było przejść przez ul. Solttyka ponieważ cała była zalana wodą ale położyliśmy kilka cegieł i po nich przeszliśmy dalej. Przy fabryce "Tytan" spotkaliśmy p. Książkową, która denerwowała się widząc że idziemy tędy, gdyż ulica była pod obstrzałem - ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Niecierpliwie spytałam ją co słychać u Matki na co usłyszałam odpowiedź, że wszystko w porządku, tylko ~~xxx~~ bomba wpadła w ogródek a odłamek jej zabił p. Rossę (tego u którego był punkt AL). Jeśli chodzi o Matkę i brata, to podobno są w Górcach, Akcja nie udała im się więc nic im nie grozi. Poszliśmy jednak za moją namową do domu Matki i rzeczywiście w ogrodzie był lej po bombie, okno wyłamane, w domu wszystko rozkradzione - a nawet poprute materace. Popatrzeliliśmy trochę na obraz zniszczenia i zawróciliśmy. Zaczęłam strasznie płakać i z tym właśnie płaczem obudziłam się. "Wład" pocieszał mnie ze to nerwy, że napewno nic złego nikomu nie groziło i wszystko jest w porządku - ale ja uparłam się że bawmy poszli do domu zobaczyć wszystko na własne oczy. "Wład" mi tłumaczył, że to niemożliwe, że przecież w drugim dniu powstania byliśmy w domu i wszystko było w porządku i nawet zostawiliśmy ubranie własne gdyż właśnie tego dnia dostaliśmy mundury niemieckie od naszego kolegi "Polusa". Iść teraz do domu, znaczyło zdezerterować. Poszedł jednak dom por. "Oszy" i przedstawił całą sprawę, który odpowiedział, że zwolnić niema prawa ale jeśli pójdziemy to nic o tym nie chce wiedzieć. Tak więc poszliśmy. Trudna to była droga, gdyż stale musieliśmy kryć się przed bombami lub przechodzić okopami i piwnicami w miejscach w pobliżu których "stali" Niemcy. Szliśmy chyba dłużej niż godzinę. Na klatce schodowej naszego domu (Obozowa 3/10) było cicho jak w wymarłym domu, mieszkanie zamknięte na klucz i nikt nie odpowiadał na dzwonienie i pukanie. Szukaliśmy Feli po wszystkich piwnicach aż znaleźliśmy ją dopiero przy ul. Ostroroga. Ropłakała się jak nas zobaczyła i zaprowadziła do domu. Weszliśmy do pokoju i zaraz na wstępie wzrok nasz mimowoli zatrzymał się na piecu. Był niemal zupełnie rozwalony. "Wład" zapytał o przyczynę tej ruiny a Fela odpowiedziała, że nawprost tego domu upadła bomba, której odłamki wpadły przez otwarty balkon i rozwały piec oraz zabiły śpiącego na naszym łóżku dowódcę oddziału AK, pokazując nam jednocześnie pokrwawioną pościel na łóżku. "Wład" spojrzął na mnie - ale nic nie powiedział. Po kilku pytaniach i odpowiedziach pożegnaliśmy się z Felą którą nam dała niedużą szynkę i poszliśmy. Przed bramą "Wład" spytał czy idziemy do domu Matki. Odpowiedziałam że tak. Dochodząc do ul. Solttyka zauważyliśmy, że cała jezdnia jest zalana wodą tak, że nie sposób jest przez nią przejść. "Wład" znowu spojrzął na mnie i bez słowa poukładaliśmy kilka cegieł po których przeszliśmy na drugą stronę ulicy. W naszą stronę szła p. Książkowa mijając właśnie bramę fabryki "Tytan". Po krótkim przywitaniu skrzyczała nas, że jesteśmy nierozważni spacerując po ulicy będącej pod obstrzałem. "Wład" znowu spojrzął dziwnie na mnie ale nic nie powiedział. Ja oczywiście zaraz spytałam o Matkę, brata i dom. Usłyszałam w odpowiedzi, że prawie wszystko w porządku, tylko w ogródku przed domem upadła bomba i zabiła p. Rossę. Jeśli chodzi o Matkę i brata to nic im nie grozi. Są w Górcach i nie brali udziału w żadnej akcji. Pożegnaliśmy ją i ruszyliśmy w stronę domu Matki (ul. Listopadowa 3) "Wład" powiedział, że właściwie nie potrzebnie tam idziemy ponieważ już wiadomo co dalej będzie - ja uparłam się jednak więc poszliśmy. Dom cały był w opłakanym stanie, wyrwane okna bez szkle leżały na klombie, w mieszkaniu wszystko rozkradzione, porozwalane, szafa otwarta i zupełnie pusta a materace porozpruwane leżały na podłodze. Spojrzeliśmy na siebie i te-



11/13/13

raz już nie mogłam zapanować nad sobą i zaczęłam strasznie płakać. "Wład" pocieszał mnie jak mógł przypominając mi, że wszystko było tak jak w moim śnie, że to wszystko takie dziwne. Szkoda tylko, że w tym miejscu nie możemy się obudzić... Postaliśmy tak może 5 min. i wróciliśmy do "naszych". Por. "Osa" jak nas zobaczył, kiwnął tylko głową i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć "wszystko w porządku". Byliśmy tak zmęczeni, że nie mogliśmy ustać na nogach. Położyliśmy się aby trochę odpocząć i ... przespaliśmy całe bombardowanie. Obudzili a nas straszna cisza jaka panowała na naszej sali no i gład. Pierwszą moją myślą było zjeść kawałek szynki którą przed spaniem "Wład" położył ~~xxxxxxx~~ na łóżku w nogach. Niestety, nie było jej tam. Jeden z naszych chłopców powiedział, że ... "to te od "Parasola" wam ją gwizdnęli" więc oblizaliśmy się po niej tylko. Widocznie oni także byli głodni. Tego dnia dowiedzieliśmy się, że na cmentarzu ewangelickim była duża egzekucja. Rozstrzeliwali Volksdeutsche, którzy kontaktowali się z Niemcami.

Po kilku dniach przeszliśmy na ul. Krzywe Kołogdzie byliśmy chyba z 5 dni. Ponieważ tu nic "ciekawego" się nie działo, dostaliśmy rozkaz wymarszu do Sądów na ul. Leszno. Droga już była uciążliwa, ponieważ bez przerwy musieliśmy kryć się przed samolotami lub przechodzić okopami w miejscach, gdzie ulica była pod obstrzałem. Mieliśmy już trochę "wyfasowanego" bagażu, jak zapasowa bielizna osobista, leki itp. Moja walizeczka z medykamentami była już prawie pełna. Mieliśmy także koc, który "Wład" zabrał z Domu Miejskiego Kobiet na ul. Leszno oraz biały, poniemiecki kożuszek. W dodatku upały niemożliwy a pył ze zburzonych domów utrudniał oddychanie. Na Krzywym Kole było względnie spokojnie. Bombardowania trwały ciągle ale mieliśmy zaufanie do masywnych murów charakterystycznych w tej dzielnicy. Po dwóch dniach przyszedł rozkaz, że mamy ruszać w nocy ~~z~~ powrotem do Sądów. Nie wiem czy to była pomyłka czy byliśmy ~~namxxxxxxx~~ zbyt leniwi, gdyż rano dowiedzieliśmy się, że jednak zostajemy na Krzywym Kole. Rano jak tylko wstaliśmy w Sądach (pierwszego ~~kan~~ dnia pobytu) mieliśmy niezbyt przyjemny widok. Jeden z oficerów dostał rozkaz rozstrzelania na dziedzińcu Sądów jakiejś Volksdeutschki, której udowodniono kontaktowanie się z Niemcami. Oficer ten trzy razy strzelał jej prosto w twarz i trzy razy broń zawiodła - kobieta ta krzyczała w niebogłos, prosząc o darowanie życia, zaklinając się, że jest niwinna i że to pomyłka. Widziałam, że na twarzy oficera odbiło się ~~w~~ wahanie po trzecim nieudanym strzale. Odszedł od niej na chwilę, porozmawiał z innym oficerem i widocznie obaj doszli do wniosku, że kobietę tę trzeba zastrzelić, gdyż w momencie kiedy ona przestała krzyczeć - myśląc zapewne że ~~darowano~~ jej życie - podszedł do niej ten sam oficer i strzelił w tył głowy - tym razem ze skutkiem. Kobieta zwała się jak kłoda a krew zalała momentalnie jej jasny, popielinowy płaszcz. Przeżyłam ten moment bardziej niż egzekucję Volksdeutsche na cmentarzu ewangelickim. Krzyk tej kobiety długo miałam w uszach. Około południa na Krzywe Koło przyszedli inni powstańcy, przydzielono nas więc do grupy udającej się do PWPW przy ul. Sanguszki. Później dopiero dowiedziałam się, że nas zawsze kierowano tam, gdzie było "najgoręcej" wiedząc o tym, że ~~"Parasole"~~ "Parasole" poradzą sobie w każdej sytuacji. Tu dopiero poznałam majora "Pełkę", Sam gmach Wytwórni zrobił na nas okropne wrażenie - szare, ponure gmaszysko przytłaczało swą wielkością chociaż miało tylko trzy piętra. Nad bramą, na dachu sterczała jakaś dziwna wieża. Szliśmy pojedzy czo i bardzo cicho, ponieważ w pobliżu była Cytadela a w niej Niemcy. Na wstępie zaraz uprzedzono nas, że to jest bardzo ważny i niebezpieczny punkt oporu, musimy więc zachować jaknajwiększą ostrożność. Ulokowaliśmy się w tzw "Bunkrach". Co to było naprawdę - nie wiem, wyglądało to na jakieś boksy dla zwierząt lub ~~jakieś~~ magazyny do specjalnych celów. W jednym takim "Bunkrze" było nas dziesięcioro: "Litwin", "Wuna", jej bratowa z synkiem, "Ewa"



"Gryf", "Polus" i "Szary", "Żbik" oraz my oboje z "Władem". Pobyt nasz zaczęliśmy od poznawania terenu. Nasze "Bunkry" znajdowały się od południowej strony gmachu tj od ul. Wójtowskiej. Idąc w kierunku ul. Zakroczymskiej przechodziło się przez olbrzymią salę, która robiła wrażenie nie wykończonych lub zdewastowanej. Nie było podłogi ani żadnych urządzeń, okna znajdowały się wysoko pod sufitem chociaż był to parter. Widocznie w tym miejscu ulica "szła pod górę" do ul. Zakroczymskiej. W prawo, równoległe do ul. Zakroczymskiej były ogromne magazyny papieru, stojące bele sięgały sufitu. Leżały także wielkie stopy "górali" chociaż w naszej sytuacji na nic nie mogły nam się przydać - chyba, że do podpalania papierosów. W prawo od tych magazynów znajdowała się ogromna sala do której schodziło się żelaznymi, ażurowymi schodami w dół, gdzie stała nasza kuchnia polowa. Na podwórku ładnie wybetonowanym stała pompa pod którą mogliśmy się myć oraz czerpać z niej wodę. Samo podwórko robiło wrażenie podłużnego, prostokątnego koszyczka z pałakiem przez środek. Właściwie były to dwa dziedzińce połączone środkowym skrzydłem (oficyną), po środku którego była brama. Od pierwszego dnia byliśmy pod silnym ostrzałem z sąsiedniej Cytadeli i byliśmy poinformowani, że nie zawsze możemy bezpiecznie tutaj chodzić. Zapowiedziano nam także, że musimy ten gmach utrzymać w naszych rękach ponieważ jest to "Cytadela Starówki". Tu jest dużo żywności w magazynach a ludność Starówki jest głodna. Nie mało trudu i ofiar ponieśli "Parasolacy" zdobywając ten gmach więc musimy go utrzymać, i tak się zaczęło. Niemcy już następnego dnia (około 10 sierpnia) zaczęli - z typową im dokładnością - bombardować nas od godz. 6-ej rano co godzina aż do zmroku. ~~Następnego dnia~~ W wyniku tych bombardowań poprzerywane zostały rury wodociągowe - zostaliśmy więc bez wody - i na dodatek tego samego dnia zabrakło również światła z czym właściwie nie było kłopotu ponieważ w nocy i tak było widno od płonących dokoła domów. Teraz tutaj nikt nie marnował czasu. Przez kilka dni wszystkie skrzydła Wytwórni przechodziły dosłownie z rąk do rąk. Gęsto padały rozkazy, która grupa do którego skrzydła lub bramy ma się udać. Sanitariuszki dwoiły i troiły się zbierając rannych i zabitych. "Pantera" i "Kryśka", "Ala", "Nuna" i "Ewa", "Lina" i "Basia" związały się jak w ukropie. Nie było czasu myśleć o swiszczących nad głowami kulach i odłamkach, nie przeszkadzały także najgroźniejsze "Szafy". Cały dzień od rana do nocy wrzało od kanonady i bombardowania jak i od naszej pracy. Chłopcy dodatkowo mieli jeszcze zajęcie z odszukaniem nowego źródła wody. Nie chodziło już o mycie ale musieliśmy przecież pić i jeść. Jakoś im się to udało gdyż po dwóch dniach była już woda. Któregoś dnia podczas porannego mycia zębów (wodą i palcem) "Wład" zaczął robić takie ruchy jakby go osy obsiadły. Ponieważ kule latały gęsto, byłam pewna, że został ranny. Nie zważając na nic pobiegłam do niego i wciągnęłam na klatkę schodową po to żeby dowiedzieć się, ze stłuczonego przed powstaniem palca (tak niefortunnie wbijał gwóźdź) zdarł sobie paznokcie. Skończyło się więc na strachu. Często bywaliśmy dzieleni na grupy. Wiadomym było, że jedna z grup broniła ul. Miodowej w okolicy pl. Krasińskich. Ciężką żałobę mieliśmy tego dnia kiedy do nas wiadomość o zdalnie kierowanym "Goliacie", który spustoszył nasze szeregi. To samo działo się w grupie broniącej Bibliotekę Narodową. W okół nas zaczynało robić się piekło, gdyż bombardowania nie ustawały a Cytadela pręta w nas jak w kaczy kuper. W nocy coraz częściej latały samoloty angielskie, zrzucające broń i amunicję oraz lekarstwa i materiały opatrunkowe. Niestety, mimo że samoloty latały tak nisko nie zawsze udawało nam się dostać to co było dla nas przeznaczone, część bowiem tych zrzutów spadała na Cytadelę i inne odcinki zajęte przez wroga. Zawsze wiedzieliśmy o mającym nastąpić zrzucie, ponieważ mieliśmy stację radiową nadawczo-odbiorczą i kontaktowaliśmy się tą drogą bezpośrednio z Londynem. Mimo że kabina w której znajdowała się radiostacja była strzeżona aby nikt nie powołał ani nie wchodził do niej, którego dnia oboje z "Władem" zostaliśmy zaproszeni przez radiotelegrafistę, który okazał się kolega "Włada" jeszcze ze szkoły Wawelberga.



Słyszeliśmy więc całą rozmowę:

My - Czy nie mogliście wyrzucić nam więcej broni, amunicji i leków? Ta którą wyrzucaliście dotychczas, w większej części spadła na stronę Szwabów. Dalej mamy mało wszystkiego a Szwaby nas piorą bezustannie (tu następował krótki opis sytuacji w Wytwórni, okolicy, na Stacji rówce i w całej Warszawie)

Cni - Owszem, myśleliśmy o tym. W tej sprawie zwróciliśmy się nawet do rządu radzieckiego z prośbą o udostępnienie lotnisk. Było by dużo łatwiej niż bliżej. Wtedy mogliśmy wyrzucić do oporu. Ale Rosjanie odpowiedzieli, że lotnisk nam nie udostępnią. Jak mają nam pomóc to pomogą sami.

My - Ale jakos nie widać tej pomocy. Jeden raz nad Warszawą krążył radziecki samolot, to przez parę godzin ~~xxxx~~ mieliśmy taki spokój i ciszę, że aż w uszach dzwoniło. Od Szwabów nie padł ani jeden strzał. Ale na tym się skończyło. Róbcie coś, bo sytuacja jest groźna a nie mamy broni. No i opatrunków.

Cni - Tak, dobrze, będziemy jeszcze próbować ale bez tych lotnisk, niewiele możemy zrobić. Na szczęście na angielskich samolotach latają polscy piloci, którzy doskonale znają wasz teren. Dobrze się spisują, co?

My - O tak. Latają dostawnie po dachach, chociaż tych dachów niewiele nam już zostało. Brawurowo to robią, trzeba przyznać.

Zrzuty powtórzyły się jeszcze parę razy. Jeden karabin maszynowy który dostał się nam w całości, tego samego dnia uroczystie ochrzcziliśmy (z winem, którego mieliśmy całe cysterny) mianem "Osa". Spiewaliśmy do późnej nocy. Najbardziej lubiliśmy marsz "Parasola" i "O gdybyś Panie Boże dał dziewczynę, konia, trunek"... Od tej pory "Osa" miał wiele okazji do pokazania co potrafi. Około 15 sierpnia chłopcy dostali rozkaz wymarszu na dworzec Gdański, skąd ostrzeliwała Starówkę i Żoliborz niemiecka pancernka. Trzeba było ją unieszkodliwić, więc od Żoliborza szli "Doliniarze" (tak nazywaliśmy chłopców ze zgrupowania "Doliny" którzy przeszli z Puszczy Kampinoskiej na Żoliborz) a od strony Starówki nasi chłopcy. Akcja trwała całą noc a jej odgłosy słychać było aż u nas. Wiedzieliśmy, że tam jest bardzo "gorąco". Sporo z nich zostało tam, przy dworcu na zawsze. Ci którzy wrócili, byli bardzo poturbowani ale pancernka została unieruchomiona, już nas nie niepokoiła.

15 sierpnia odbyła się w Wytwórni uroczysta msza święta. Tak jakos w ~~okolicy~~ <sup>czasie</sup> podniesienia usłyszeliśmy charakterystyczny zgrzyt "szafy", a zaraz po nim - detonacje jedna po drugiej. Cały gmach Wytwórni trząsł się w posadach, gruz sypał się nam na głowy a ksiądz błady jak dekoracja ołtarza (jedwab spadochronowy z zrzutów angielskich) kończył modlitwy. Większość tłumnie zebranych w tym prowizorycznym kościele rzuciła się do ucieczki. Widząc na co się zanosi, stanęłam w drzwiach i na cały głos zawołałam: "Ludzie! Co robicie! Przecież już po strachu a wy zatratujecie się na śmierć!" Opamiętali się wszyscy oprócz "Pomidora" który wszedł w wyłom w murze ledwie go było widać. Nikt od tego "trzęsienia ziemi" nie zginął. W kilka dni później zginął natomiast nasz mały "Jędrus" który usiłował spalić niemiecki czołg. W tym samym czasie zasypało nas na barykadzie przy ul. Zakroczymskiej.

Ponieważ ludność cywilna gromadnie przychodziła do nas po żywność, urozmaicenie naszych posiłków spadło niemal do zera. Chleb z magazynów ponemiecki stawał się coraz gorszy, czasami spleśniały, codziennie krupnik z suszonych kartofli na konserwach mięsnych i to w małych ilościach tak, że nasz aprowizator, sierż. "Młot" miał nielada kłopot z dzieleniem tych posiłków. Ale któregoś dnia obiad mieliśmy urozmaicony. Właśnie przyniesiono kociot z nieśmiertelnym krupnikiem, "Młot" dzielił na coraz mniejsze porcje gdy chłopcy zbuntowali się i okrążyli go domagając się "repety". "Młot" tak dzielnie zasłaniał kociot własnym ciałem, że wpadł do niego w ten gorący krupnik. Ledwie chłopcy dali radę wyciągnąć go, zwłaszcza, że potracili siły od śmiechu. "Młot" długo pamiętał tę przygodę, zwłaszcza podczas siadania.

Okolo



13/16

Od czasu kiedy nad nami spaliły się wszystkie piętra, przeszliśmy (jak krety) do podziemi - dwa piętra w dół. Światła już nie mieliśmy dawno, świece także się skończyły. Chodziliśmy więc "po omacku". Kiedyś, jak nasi chłopcy mieli nową akcję a ja zostałam na terenie, postanowiłam "zorganizować" im trochę tytoniu "Wirginia" którego cała biała stała w korytarzu prowadzącym do podziemia. Idąc tak po ciemku, zobaczyłam tuż za zakretem korytarza jakieś światło ślizgające się po ścianie i usłyszałam ciche pukanie. Z największym zdziwieniem zobaczyłam jakiegoś obcego mężczyznę w czarnej pelerynie opukującego ścianę tej piwnicy. On to oświetlał korytarz lampką elektryczną. Prędko wycofałam się do "bukrów" gdzie odnalazłam "Nunę" której opowiedziałam co widziałam w piwnicy. Powiedziała mi także, że dobrze było by okrążyć go z obu stron, wtedy nie będnie miał możliwości ucieczki. "Nuna" dała znać o tym sierż. "Litwinowi" ten zorganizował obławę i... złapali szpiega. Koniec jego był wiadomy a "Nuna" powiedziała, że miał za zadanie wsadzić Wytwórnę w powietrze. Tego dnia por. "Csa" podziękował mi za refleks i odpowiednią postawę oraz obiecał, że nigdy tego mi nie zapomni i po powstaniu nie zapomni o odpowiednim odznaczeniu.

Około 20 sierpnia nasi chłopcy mieli za zadanie obserwować z domu mieszkalnego PWPW ruchy wojsk nieprzyjaciela na widocznym przez okna moście kolejowym. Pociągami jechało wojsko, armaty, czołgi - wszystko to wskazywało na zorganizowaną ucieczkę z frontu wschodniego. O wszystkim informowało się dowództwo a ci wyciągali wnioski. Jeśli chodzi o sytuację w samej Wytwórni, to w dalszym ciągu broniliśmy jej bram którymi usiłowały wdrzeć się niemieckie czołgi. Kiedyś zaczęły podchodzić od strony Wisły gdy jeden z chłopców nie wytrzymał nerwowo i rzucił w ich stronę puszkę po konserwach. Czołgi natychmiast zawróciły sądząc widocznie, że to jakaś nasza nowa broń jak "zapalki", "karbidówki" czy butelki z benzyną. Opowiadaliśmy sobie długo tę historię zaśmiewając się.

Duże wrażenie na nas zrobiła wizyta chłopców z Żoliborza. Imponowało nam to, że byli uzbrojeni "po zęby" co przy naszym zaopatrzeniu w broń było naprawdę imponujące. Przyszli do nas kanałami, więc zapach od nich był taki, że pośpiesznie oddalaliśmy się po zamienieniu kilku słów. Niedługo po tej wizycie nasi chłopcy przeszli kanałami na Żoliborz, niektórzy tam nawet zostali do końca.

Wszyscy już wówczas mieliśmy wszy. W moich potężnych wówczas warkoczach było ich tyle, że odnosiłam wrażenie, że włosy same mi chodzą po głowie. Ale na to nie zwracało się już uwagi, zwłaszcza, że bombardowania trwały wciąż z niemiecką dokładnością, szeregi naszych chłopców i dziewcząt topniały z dnia na dzień. Tak zginęła jedna z sanitariuszek która podczas mycia została ~~atakowana~~ poparzona tak, że straciła wzrok a w parę minut po tym już nie żyła. "Alina" została ranna w nogę. Wielu nie wróciło z wypadu na szkołę przy ul. Stawki. Zaczęliśmy przebąkiwać, że już chyba nie długo utrzymamy się w Wytwórni. Tak się też stało. Około 25 sierpnia z największą ostrożnością zaczęliśmy wycofywać się (przez okna po drabinie) na ul. Wójtowską, między gruzami do jakiegoś kościoła który jakimś cudem był prawie cały, tu spędziliśmy jeden dzień a w nocy próbowaliśmy przedostać się do kanału przy Pl. Krasińskich. Doszliśmy już do ul. Hipotecznej lecz Niemcy "wymacali" nas i piorąc na ślepo walili w fabrykę Spissa. Widocznie były tam magazyny czarnej farby, ponieważ rano wszyscy wyglądaliśmy jak murzyny a poznawaliśmy się tylko po głosie. Byliśw jednak wszyscy: "Wład", "Lina", "Nuna", "Litwin", "Gryf", "Szary", "Sokół", "Sienkiewicz", "Pająk", "Rzeźnik", "Japonka", "Żbik", "Polus", "Ewa" i inni chociaż tacy czarni - lecz jak zmartwychwstali. Tym razem nasza kwatera znajdowała się przy ul. ~~Podwale~~. Wiedzieliśmy, że dwa domy dalej zajęło dowództwo AK. Myślę, że Niemcy także wiedzieli o tym ponieważ bombardowali ten dom niemal bez przerwy. Podobno w piwnicach tego domu zginęło wówczas ponad sto rodzin. Byliśmy już wówczas zupełnie bezsilni tak, że jeden z kolegów nerwowo nie wytrzymał i strzelił do pikującego samolotu. Groził mu za to sąd wojenny ale wszyscy stanęliśmy w jego obronie i dowódca jakoś darował mu to przewinienie zwłaszcza, że sam był u kresu wytrzymałości. Chodziliśmy już nie po ulicach ale po gruzach, które pod naszymi nogami

*zobaczony  
został  
w kwaterze*

*zobaczony*



"13/22"

mi bujały się jak torfowisko, ponieważ pod nimi leżały nie pogrzebane ciała naszych kolegów i ludności cywilnej. Wiedzieliśmy już napewno, że nadchodzi kres naszego wysiłku, że kończy się nasza wolność. Nie zaśpiewamy już naszych ulubionych piosenek - Pałacyk Mühla, Żytnia, Wola ... to jest nasz Edzio w ząbek czesany, czy serce w plecaku? To była agonia Starego Miasta. Nie było jednak zbyt dużo czasu na refleksje ponieważ samoloty dalej nie dawały nam spokoju a gruzy nie dawały schronienia. Chodziliśmy jak duchy nie rozmawiając prawie do siebie. Pod koniec sierpnia por. "Osa" na apelu oznajmił nam, że nie widzi możliwości kontynuowania walki, że dostał rozkaz złożenia broni i w związku z tym apeluje, żeby wszyscy którzy ją posiadają, za jego przykładem kładli "na kupkę". Trudno opisać co się z nami działo. Długa chwila ciszy, później brzęk otwieranego tu i tam magazynka, wysypywanie naboi i trzask rzuconej broni. Jedni płakali, drudzy stali jak skamieniałi a jeszcze inni próbowali buntować się ale rozkaz był wyraźny. Zapowiedziano nam także, że por. "Osa" nie jest już naszym dowódcą i że możemy szukać szczęścia na własną rękę. Trudno było w to uwierzyć a jeszcze trudniej pogodzić się z takim obrotem sprawy ale por. "Osa" zaszlachtował i odszedł. Zdani więc byliśmy na własny los. Po krótkiej naradzie dołączyliśmy się do resztki grupy pod dowództwem por. "Białego" który na mundurze poniemieckim miał opaskę Czerwonego Krzyża na ręce. Ponieważ za pierwszym razem przejście kanałami nie udało nam się. Teraz więc pod nowym dowódcą postanowiono próbować przejść poraz drugi. Noc z 1 na 2 ~~sierpnia~~ września spędziliśmy w szopie ołtarza w kościele przy ul. Długiej róg Freta. Stąd bliżej było do wejścia do kanału. W kościele tym schroniła się chyba cała ocalała ludność cywilna która licząc na mocne mury kościoła, szukała ostatnie deski ratunku. Właściwie był to chyba jedyny ocalały kościół na Starówce. Nad ranem wwruszyliśmy w stronę kanału. Ponieważ nasi chłopcy w czasie akcji odbili "Fawiak" i szpital Bożego Jana, teraz między nami dużo było więźniów różnej narodowości i chorych umysłowo. Rozmawialiśmy wprawdzie bardzo cicho ale można było rozróżnić mowę francuską, niemiecką, włoską i inną. W pewnej chwili poczułam ból w lewej nodze. Złapałam się ręką za bolące miejsce i poczułam lepką krew na dłoni. Byłam więc ranna a nie było możliwości zrobić sobie opatrunku. Zresztą nie myślałam więcej o tym mimo, że za chwilę krew chlupotała mi w pantoflu. Ale nie było czasu zastanawiać się nad tym ponieważ w naszych szeregach zrobił się jakiś ruch. Początkowo nie mogłam zorientować się o co chodzi a to nasza drużyna przytaczała się do plutonu ciężkich karabinów maszynowych z którymi mieliśmy przejść za chwilę kanałami do Śródmieścia. Nie sądzono mi jednak było to przejście ponieważ za małą chwilę odszedł do nas mjr "Róg" i bezceremonialnie wyrzucił z szeregu wszystkich którzy nie mieli munduru. Było ich wielu ponieważ w międzyczasie co i raz dołączał się do nas jakiś cywil chcąc uciec z tego piekła jakim było Stare Miasto. Mnie z szeregu wyrzucił także, chociaż miałam mundur, opaskę AK i drugą z czerwonym krzyżem. Miałam także chusteczkę na głowie która to pewnie majorowi rzuciła się w oczy. Nie było jednak tłumaczenia zwłaszcza, że mocno zalaatywał winem. Wszystkich "odrzuconych" skierowano do bramy jakiegoś byłego domu i tam czekaliśmy do rana. Około godz. 6<sup>00</sup> zaczął się straszny bombardowanie w czasie którego dostałam się do jakiegoś wypalonego domu przy ul. ~~Rxxxx~~ Podwale w pobliżu Długiej. Tu stanęłam na środku podwórka nie wiedząc co ze sobą zrobić. Zostałam sama, odcięta od swoich którzy akurat są może w centrum bombardowania, a może już nie wszyscy żyją... może "Wład". Tam przecież pozostali wszyscy ci z którymi ręką w rękę przeszłam przez to piekło. Lęk o nich paraliżował moje myśli zwłaszcza, że ktoś głośno opowiadał, że właśnie wraca od kanału gdzie jest straszna masakra. Wpadłam w takie odrętwienie, że nie wiedziałam co się ze mną dzieje. Zobaczyłam jakieś zawiniątko owinięte w szary papier. Ponieważ nogi miałam jak z waty chciałam na tym usiąść ale zapach ulatniający się od zawiniątka wyjaśnił mi, że w opakowaniu tym jest rozkładające się ciało albo jego część.



Ustyszałam nad sobą znajomy głos: "Dziwíodobry pani". Podniosłam wzrok. Był to pan Stanisław Gałazka, właściciel Zakładu Fotograficznego przy ul. Wolskiej 16. Szedł ze swym szwagrem, mimo takiego strasznego bombardowania, w stronę kanału. Nie miałam siły iść z nimi, podziękowałam za propozycję i zostałam na miejscu. Gdzieś za sobą usłyszałam jak spod ziemi czyjeś urągania: "...idiotka, takie bombardowanie a ona stoi, samoloty na nas sprrowadzi, za kołnierz ją i do piwnicy..." Nie wiedziałam, że to pod moim adresem, dopiero jak podszedł do mnie jakiś cień mężczyzny, wziął mnie pod rękę i prowadził w stronę piwnicy, zorientowałam się o co chodzi. Szłam jak lunatyk nie zwracając uwagi na krwawiącą nogę. W piwnicy do której mnie wprowadzono, było już gęsto od ludzi, ciemno i zaduch taki, że trudno było oddychać. Gdy przy nikłym świetle padającym od świecy zobaczono mój mundur, zrobiło się okropne poruszenie że Niemcy mogą za chwilę tu przyjść i gotowi nas wszystkich wymordować jak mnie zobaczą. Bezwiednie pozwoliłam zdjąć z siebie ten nieszczęsny mundur i założyć jakąś (nawet nie wiem czyją) spódnicę. Pod mundurem (marynarką) miałam sweter, więc wyglądałam już jak cywil. Usiadłam pod ścianą obok jakichś dwojga młodych ludzi (jak się okazało było to młode małżeństwo) i słuchałam odgłosów bombardowania. Bomby padały bardzo blisko. Zgromadzeni wokół mnie ludzie modlili się na głos lub klócili. Ile czasu upłynęło od mojego wejścia do tej piwnicy nie umiałam bym określić. Byłam odrętwiała i zupełnie obojętna na wszystko. W pewnej chwili piwnicę przeszył przerażający krzyk: "Niemcy na podwórku!" Popłoch jaki powstał nie da się opisać. Jedni uciekali nie wiadomo gdzie, inni miotali się w tę i z powrotem a jeszcze inni spokojnie czekali na swój los. Ja należałam do tych ostatnich - było mi obojętne jaki koniec mnie spotka. Istotnie za chwilę dał się słyszeć inny, mroźny krzyk w żywach krzyk: "Alle raus!!" Tak - myślałam - to już koniec. Więc tak wygląda moja ostatnia chwila. Wiedziałam przecie jak "Oni" obchodzi się z "Bandytami", w tym czasie prawie wszyscy już wyszli. Pozostali tylko ci młodzi małżonkowie i ja. Nie zamierzałam wyjść. Weszło trzech Niemców z bergmanami wycelowanymi prosto w nas, z okrzykiem "raus!" wskazywano na drzwi ale żadne z nas nie drgnęło. Jeden z nich, widząc że się nie ruszamy i nie reagujemy na ich krzyk, podszedł bliżej i zapytał: "kaput?" dotykając jednocześnie moją ramię. Strząsnęłam jego dłoń z mojego ramienia ale dalej siedziałam bez ruchu. Tamci dwaj odeszli w inny koniec piwnicy a pozostali przemówili do nas po polsku: "Lepiej stąd idźcie bo zaraz wrzucą tu granaty i podpalą." Niech rzucają i podpalają - odrzekłam - ja stąd nigdzie nie pójdę. "Ci młodzi powiedzieli, że także nie wyjdą z tej piwnicy, żeby nawet mieli tu zginąć." Nie można tak - mówił dalej Niemiec po polsku - jesteście młodzi, życie przed wami a ja wam ręczę, że nic wam już nie grozi. Wycierpieliście się dosyć a teraz już wszystko będzie dobrze" i z tymi słowami wytarł chusteczką tzw spływające po twarzy. Bez słowa wszyscy troje pożegnaliśmy się wrokiem, wstaliśmy i poszliśmy w stronę schodów. Na podwórku był już tłum wynędzniałych postaci. Skąd się tyle ich wzięło, przecie w piwnicy wszyscy by się nie zmieścili. Bombardowanie w międzyczasie ucichło, słonce świeciło tak jasno, że raziło w oczy. W jego blasku klębił się tłum tych wynędzniałych, brudnych, staniających się z głodu postaci. Były kobiety w podartych sukienkach, dzieci krzyczące i trzymające się szczątków tych sukien, mężczyźni młodzi czy starzy - nie wiadomo, wszyscy jednakowo zabiedzeni. Niemcy biegali i krzyczeli, kolbami karabinów porządkowali ten tłum w regularny szereg. Wzrok mój padł na jakiego inwalidę, który na próżno usiłował podnieść się z ziemi po otrzymaniu ciosu w głowę. Pomogłam mu wstać a on już nie puścił mojej ręki prosząc abym prowadziła go dalej. Miał sparaliżowane obie nogi więc musiałam go nie tyle prowadzić ile prawie nieść. Zwartym szeregiem szliśmy ulicą Podwale do Senatorskiej, Kozią do Krakowskiego Przedmieścia, Mariensztatem, do Sowiej. Tu ocknęłam się z odrętwienia słysząc rozdzierający krzyk: "Ratujcie naszą mamę! Ludzie ratujcieeee!" To nad zwłokami matki pła-



kało troje małych dzieci w wieku 3 do 6 lat. ktoś oderwał je od wynędzniałych zwłok i zaprowadził krzyczące do szeregu. Kawalek dalej, także na ul. Sowiej, dwóch ukraińców trzymało umierającą, starą kobietę jeden za ręce drugi za nogi. Rozhuścili ją tak, że bez trudu udało im się wrzucić ją w odchtan dopalającego się sklepu. Śmiali się z tego, że pod wpływem żaru, zwłoki wykonywały różne ruchy, jakby tańczyły jakiś makabryczny taniec.

Dalsza droga prowadzi a ul. Bednarską, Ossolińskich, później Solną (przez jakieś ruiny), następnie Chłodną, Wolską do Bema. Całą drogę szliśmy wolno, w milczeniu, nie wiedząc jaki los nas czeka, na co jesteśmy skazani i dokąd zaprowadzi nas - może nasza ostatnie droga. Nie można było spodziewać się niczego dobrego. Wiedziałam jak obchodzili się z warszawiakami w kościele św. Wojciecha na Woli, w fabryce Franciszka jaka była masakra lub żywcem spaleni w szopie gdzieś na ul. Gostyńskiej. Myślałam także przy tych, którzy zostali tam, przy wejściu do kanału. Czy zdążyli wejść przed tym strasznym bombardowaniem? czy przeszli szczęśliwie do Śródmieścia, a co dalej z nimi. Tak rozmyślając doszliśmy do ul. Krzywżanowskiej. Po prawej stronie tej ulicy był ogród a w nim na krzakach czerwone, ogromne pomidory. Przez poprzerywane druty kolczaste wskoczyłam między krzaki, narwałam pomidorów ile tylko mogłam utrzymać i wróciłam natychmiast do szeregu. Inni mieli mniej szczęścia, ponieważ jak tylko wskoczyli do ogrodu, natychmiast kilku ukraińców uruchomiło swoje bergmany i kilkoma salwami unieruchomili na zawsze biednych, głodnych ludzi. Spojrzałam w przód - nie widać początku naszego szeregu. Spojrzałam w tył - nie widać jego końca. A tam między krzakami pomidorów około 10 osób. Byłam tak spragniona świeżych warzyw i owoców, że zjadłam ~~tam~~ łapczywie wszystkie na raz, jakby od tego zależało moje życie. W ten sposób doszliśmy do dworca zachodniego na Woli. Długo i mozolnie załadowywano nas w bydłące wagony, podstawione specjalnie w tym celu. Wpychani byliśmy jak śledzie do beczki w te brudne wagony. W tym samym co ja wagonie był por. "Rawicz" z żoną. Zobaczywszy, że mam przy sobie środki opatrunkowe, poprosił mnie aby owinąć mu głowę tak, żeby sprawiał wrażenie rannego. Może w ten sposób nie wywoła go do Rzeszy i nie rozdzieli z żoną. Oczywiście spełniłam jego życzenie, zawiętałam nie tylko głowę ale i całą twarz razem z oczami tak, żeby żona stała się niezbędna w prowadzeniu nawet kilka kroków. Tak dojechaliśmy do Pruszkowa gdzie rozmieszczono nas w halach, gdzie prawdopodobnie naprawiano wagony. Był jakby długi tunel a po jego obu stronach rampy. Ja zostałam przydzielona na stronę prawą, gdzie też zaraz położyłam się na ziemi aby trochę rozprostować bolące od stania przez całą drogę, spuchnięte nogi. Zaraz też położyła się obok mnie dziewczyna może 15 letnia która była ranna w plecy od karku aż do pasa miała zdrtą skórę tak, że widać było żywe ciało a w nim -ozgrozo- chodziły tłuste robaki. Matka tej dziewczyny widząc moje bandażę, prosiła mnie na wszystko, abym chociaż zawiętała jej te rozorane plecy. Ponieważ miałam także środki dezynfekcyjne, oczyściłam biedaczkę tę okropną ranę i zabandażowałam plecy. Dziewczynie ulżył ten zabieg i zaraz zasnęła głębokim snem. Zapytałam matkę dziewczyny dlaczego wcześniej nie oddała córki pod opiekę lekarza. Odpowiedziała mi, że bała się aby córki nie zabrali bo ma ją tylko jedną i nikogo więcej. Ponieważ usłyszałam, że przywieźli następny transport, wyszłam przed halę i przez ogrodzenie z drutu uważałam, czy nie zobaczę gdzieś "Włada" lub kogoś kto mógłby udzielić mi o nim informacji. Niestety. Chociaż wystawałam tak całymi godzinami, chociaż tysiące wynędzniałych istot ludzkich przechodziło koło mnie, tych, których chciałam zobaczyć - niestety nie było. Przez trzy dni obserwowałam wciąż napływające tłumy - bezskutecznie. Czwartego dnia zarządziło zbiórki i zaczęto nas przydzielać - jednych na lewo, drugich na prawo. Ledwie trzymałam się na nogach, ponieważ od paru dni nic nie jadłam, więc z wycieńczenia i przeżyć a także zmartwienia o los moich najbliższych było mi zupełnie obojętne co się ze mną stanie.



11/13/20

Ze zdziwieniem jednak stwierdziłam, że przewidziano mnie do grupy ludzi starych, chorych i z dziećmi. Jak oni poznali, że jestem w odmiennym stanie? Byłam tak strasznie chuda, że kości prześwitywały mi przez skórę a brzuch niemal przywierał mi do pleców. Nie zastanawiam się jednak długo ponieważ skierowano nas znowu do bydłowych wagonów i wkrótce ruszyliśmy w nieznanym kierunku. Wszyscy byli jak otępiali. Wyglądaliśmy zapewne jak zwierzęta dziko patrzące na mijane pola, domy (nie zburzone) ludzi z daleka przyglądających się nam. Więc jednak jest jakieś życie w naszym kraju, są jeszcze normalnie żyjący ludzie we własnych domach i z najbliższymi... Obejrzałam się za siebie - w stronę znikającego Pruszkowa. W dali, na wschodzie widać było osnutą dymem konającą Warszawę, moją Warszawę, a nad nią jak sępy nad padliną latały samoloty, pikując od czasu do czasu. Więc to taki koniec. Tyle zapłaty, tyle krwi, tyle istnień ludzkich kosztowała nas ta wolność a teraz... Teraz wiążą nas gdzieś nie wiadomo gdzie. Może na roboty, może do obozu a może i na stracenie? Miałam 20 lat. czułam w sobie nowe życie a tu taki koniec. Jak długo jechaliśmy i co się w tym czasie działo - nie umiem powiedzieć. Jechaliśmy chyba cały dzień bo późno w nocy kazano nam wysiadać na jakiejś stacji. Cały ten tłum skierowano w stronę zabudowań, jakieś ciemno stojące domy mijaliśmy w najgłębszej ciszy, aż doszliśmy do budynku w którym kazano nam kraść się gdzie kto może. Oczywiście nie było mowy o żadnym postanieniu, miejsca leżące to była goła podłoga. Dom, to jakaś szkoła. Ze słów kilku kobiet tulejszych które były tu może sprzątaczkami dowiedziałam się, że jesteśmy w Opocznie, że na rynku można kupić chleb, mleko i owoce. Wydawało mi się, że to nie jest możliwe. Zaraz więc po nieprzespanej z wrażenia ~~xxx~~ i zmęczenia nocy, zabrałam swoje manatki i wyszłam w stronę, gdzie określono mi, znajduje się rynek. Istotnie. Było tam wszystko: pyszny, wiejski chleb, mleko, masło, jaja, ser, śmietana no i owoce. Ponieważ miałam ze sobą 400 zł., kupiłam zaraz pół litra mleka, pół kg. chleba i pół kg. jabłek. Jeść, jeść za wszelką cenę - ale jak to zrobić? Wprost na ulicę? Doszłam do wniosku, że najlepiej zrobię jak pójdę nad rzekę i tam zrobię ucztę jakiej świat nie widział. Tak też zrobiłam, zjadłam wszystko co do żdziebła - najpierw ugryzłam kawałek chleba, zagryzłam jabłkiem i popiłam mlekiem. Po krótkim odpoczynku postanowiłam iść na dworzec i dowiedzieć się kiedy odjeżdża pociąg w stronę kołuskiego, gdzie - jak sobie przypomniałam - mieszkała nasza znajoma, pani Zofia Rejczak. Podeszłam do jakiejś starszej pani stojącej przy furtce domu niedaleko dworca i zapytałam o ten pociąg. Odpowiedziała mi, że nie wie ale niedługo przyjdzie zięć który pracuje na poczcie to napewno będzie wiedział. Zaprosiła mnie do domu i przy herbacie opowiedziała mi, że zięć (zresztą i jej córka) nazywa się Kryweń, mają dwoje dzieci i napewno ucieszą się z mojego poznania. Tak też było. Po powrocie córki i zięcia dostałam od nich zaproszenie abym została tak długo jak tylko będę chciała. Byli to bardzo mili ludzie ale panicznie bali się mieć do czynienia z powstańcami (Niemcy przecież nazywali nas bandytami) na wszelki więc wypadek nie przyznawałam się, żeby nie mieli powodu do rozterki. Po miesiącu bardzo miłego pobytu u tych życzliwych ludzi, wymaszerowałam w stronę Warszawy z nadzieją, że spotkam kogoś z moich najbliższych. Po dwóch dniach zawędrowałam do Grodziska Mazowieckiego, gdzie mieszkała moja serdeczna przyjaciółka Helena Borska. Na szczęście zastałam w domu ją i jej męża Czesława oraz małego Leszka i pp. Lewandowskich - rodziców Heli. Tu poczułam się jak w domu. Tu miałam ciepło, cicho i byłam między bliskimi. Nie było tylko "Włada", matki, brata i tych wszystkich z którymi przeżyłam najgorzej-sze dni mojego życia. Co też się z nimi dzieje. A co mnie czeka? Bez domu, bez rodziny, bez środków do życia i w ciąży. Postanowiłam zrobić wypad do Warszawy, mając przekonanie, że kogoś napewno spotkam. Pierwszą spotkaną osobą była moja Matka. Okazało się, że cały czas była łączniczką sztabową w Puszczy Kampinoskiej, kilkakrotnie przechodziła z rozkazami do Warszawy, brała udział w natarciu na Instytut Chemiczny na Żoliborzu i na dworzec Gdański. Nic nie wiedziała o moim bracie ani o innych.



Opowiadaniom nie było końca. Ja opowiadałam nasze przeżycia, Matka swoje. Przypominałyśmy sobie jak w 1939 roku Niemcy chcieli mnie rozstrzelić ponieważ wzięli mnie za szpiega, Jak później kilkakrotnie niewiele brakowało abym nie została przy życiu. Opowiedziałam także, jak podczas jednej z wypraw w stronę Warszawy zostałam zatrzymana przez Niemców (wyłapywali wówczas "bandytów" z zameldowaniem w Warszawie) i "Budą" przewieziona wraz z innymi gdzieś w okolice Wawrzyszewa. Tam wyładowano nas (około 30 osób), postawiono pod ścianą jakiegoś starego domu, i kazano stać z rękami w górze. W pewnej chwili kątem oka zerknęłam do tyłu. Około 10 Niemców stało z wycelowanymi w naszym kierunku karabinami. "To egzekucja" - pomyślałam sobie. Tym razem to już koniec. Nie wiem ile czasu tak staliśmy, ponieważ o niczym wtedy nie mogłam myśleć. Była wokół mnie idealna pustka i nic do mnie nie docierało. Zaraz upadnę i już nigdy nie zobaczę nawet mojego dziecka. Ocknęłam się dopiero jak poczułam dotknięcie w ramię. Odwróciłam wzrok w tę stronę i zobaczyłam niemiecki mundur. Żołnierz zapytał mnie po niemiecku czy jestem w ciąży. Odpowiedziałam, że nie rozumiem. Powtórzył pytanie tym razem po polsku - przytaknęłam. Zapytał więc jak się nazywam. Po usłyszeniu nazwiska odszedł a za chwilę przyniósł mi moją Kennkartę, oddał do ręki i kazał iść stąd jaknajprędzej. Odeszłam w stronę lasów, myśląc ~~pr~~ bez przerwy, że za chwilę strzelą mi w plecy - jak to oni mieli w zwyczaju. Rzeczywiście, po małej chwili usłyszałam salwę ale nie w moją stronę. Tak więc uratowało mnie moje jeszcze nienaradzone dziecko.

Córka moja urodziła się w dwa dni po wyzwoleniu Warszawy. Dwa lata minęło zanim dowiedziałam się, że "Wład" przeszedł kanałami do Śródmieścia na pl. Napoleona, brał udział w kilku akcjach, podczas jednej z nich został ranny (miał przeciętą arterię - ranny w kark), Koledzy zanieśli go do szpitala przy ul. Czerniakowskiej. gdzie po paru dniach nie odzyskawszy przytomności, żywcem spalili się w podziemiach tego szpitala.

A reszta? czy jeszcze kiedyś zobaczymy się??







Anna Solecka

ml.

krwa

Wpłynęło dnia 22.07. KM

L.dz. 1522/WJK/PP PW.

kontu

Stanosna Pani  
Katarzyna Minerska

W piśmie z dn. 10. V br. znak d. dz. 20/WS4/99  
prosiła Pani o przytanie moich wspomnień z czasów  
okupacji; Powstania. Przerzytam je zgodnie z Pani  
prośbą. Kserokopia mi się może najlepszy  
jakości, ale maszynopis był pisany na jakiejś  
starej maszynie, nie najlepszym papierze, stary (1960-65r)  
i pisany przez mnie najlepszy maszynistką.

Mam jednak nadzieję, że można co-nieco  
zrozumieć.

Odpisuję Pani na kartce dla mnie cenną,  
do jakiej części mojego życia - niech służy historii.

Z wyrazami szacunku

Solecka

krwa, 17. VII. 1998 r.



Toruń, dnia 10.05.....1999r.

L.dz.: 20/WJK/PP

KOPIA

Pani Anna Solecka

01-350 Warszawa, ul.

Dom Kombatanta

Szanowna Pani !

W odpowiedzi na Pani list z 29 marca br., bardzo dziękujemy za przysłane materiały oraz za podanie informacji uzupełniających Pani relację. Podaje Pani datę zamążpójścia, czy mogłaby Pani też podać kiedy zmieniła Pani nazwisko na Solecka ?

W poprzednim swoim liście do nas, pisze Pani, że posiada wspomnienia z okresu wojny i Powstania, czy mogłaby Pani przysłać do naszego Archiwum chociaż kserokopie tych wspomnień. Materiały takie zawsze stanowią cenne uzupełnienie relacji.

Dziękujemy Pani również za deklarację wpłacania darów pieniężnych na nasze konto, jest to dla nas bardzo ważna pomoc, gdyż tylko dzięki takim darom nasza Fundacja może prowadzić działalność naukową.

Może też mogłaby Pani rozpropagować działalność Fundacji, a w szczególności Memoriału Generał Marii Wittek wśród mieszkańców Domu Kombatanta ? Może Ktoś, podobnie jak i Pani zainteresuje się naszym Archiwum, a może wśród Pań znajdą się i takie osoby, które będą chciały napisać dla nas relacje ?

Jeszcze raz za wszystko bardzo dziękujemy i zapraszamy do dalszej współpracy.

Z wyrazami szacunku

*Katarzyna Minczykowska*

Katarzyna Minczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK

przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”

PS. W załączeniu przesyłamy (do rozpowszechnienia) materiały informacyjne na temat naszej Fundacji i Memoriału





Anna Soleczka Rebendel P. Kasia  
ul. Sternowa 125  
01 350 Warszawa  
Dom Kombatantów Szanowna Pani.

Wpłynęło dnia 29.03.99  
Ldz. 721/WSK/99

- Prizkując ze przystawy w listy br. list oraz dwa komunikaty i informacji, przepraszam, że dopiero teraz przesyłam moje dane o które Pani prosiła - t.j.
1. Świadectwie trzech ośców o przynależności mnie, mojej Matki i Brata do Komp. "Kata" we Wrocl
  2. Świadectwie st. nierz. Skrzypowskiiego o pracy w konspiracji
  3. Zaświadczenie wyfiltracyjne z Londynu
  4. Kopie dwóch legitymacji z Londynu
  5. oraz dwie odbitki moich zdjęć z lat 40-tych (innych nie mam)

Mój pseudonim w ramach konspiracji - "dina", a samą zginęłam w IV 1944. jako Anna Kapustówna.

Wspomnienia prosiłam ale spisane w zeszytach, pisane ręcznie, nie był cytowane

Prosiłam również o tych prac społecznych podanych w memoriale, że względu na różne choroby nie mogły się przebiegać (inwalidztwo wojenne i z egalnego stanu zdrowia) mogły od was do wasz przelice pewną sumę na konto Fundacji.

z wyrazami powierzenia

Jelecz  
H. Soleczka

W-wa, 24. III. 1999.



# MEMORIAŁ

*General Marii Wittek*

Toruń 2.II.1999 r.

L.dz.: 2243/WSK/98

kopia

Pani Anna Rebandel-Solecka  
ul. Sternicza 125  
01-350 Warszawa

Szanowna Pani !

W grudniu ubiegłego roku przysłała Pani do naszego Archiwum relację ze swojej służby wojennej. Za przysłane materiały bardzo dziękujemy, na ich podstawie założyliśmy Pani teczkę osobową nr inw. 1517/WSK.

Prosimy jednak, o ile jest to możliwe, o uzupełnienie swojejteczki osobowej dokumentami potwierdzającymi Pani działalność konspiracyjną. Może też mogłaby Pani przysłać do naszego Archiwum Pani zdjęcie, najlepiej z lat 40-tych, ale może być też współczesne. A może też posiada Pani jakieś zdjęcia ilustrujące Pani służbę wojenną. Jeżeli tak bylibyśmy bardzo wdzięczni za przysłanie do Archiwum chociaż kserokopii.

Prosimy też o podanie Pani pseudonimu z czasów konspiracji oraz daty Pani zamążpójścia a także Pani nazwiska Panieńskiego ?

Pisze Pani, że jest w posiadaniu wspomnień z czasów konspiracji i Powstania. Czy mogłaby Pani przysłać do naszego Archiwum chociaż kserokopie?



W załączeniu przesyłamy Komunikaty Memoriału Generał Marii Wittek oraz zapraszamy do Koła Przyjaciół Memoriału. Przesyłamy również informację o IX Sesji Fundacji, na którą Panią serdecznie zapraszamy.

Z wyrazami szacunku

*K. Minczykowska*  
Katarzyna Minczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK  
przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”

zał.:

- 1/ Komunikaty Memoriału Generał Marii Wittek (nr 1, 5-6)
- 2/ Informacja o IX Sesji

*Wyczerpano list  
z dopiskiem*  
Szanowne Rolwanko. *K. Minczykowska*  
Ewangelini przy pozdrawiam mi Helery Ra-  
tyniskij, która przebrała w Down Bombatawta  
me mt. Stevnicij. U Mrota do tej napim  
*1/11 99* *Ewanta Zawosha, Zo*

*P. Rattyniska zmarła*

*2. 11. 1999*

LIST p. Sołuckiej do FAPAK,  
Ldz. 2243/WSK/98 Lw: J 1/1



T. 1517/WSK

AK  
w-wa

REBANDEL Anna

ul. Sołecha

z d. Kapustowa

ps. "Lina"

V Nazwiskowe karty informacyjne

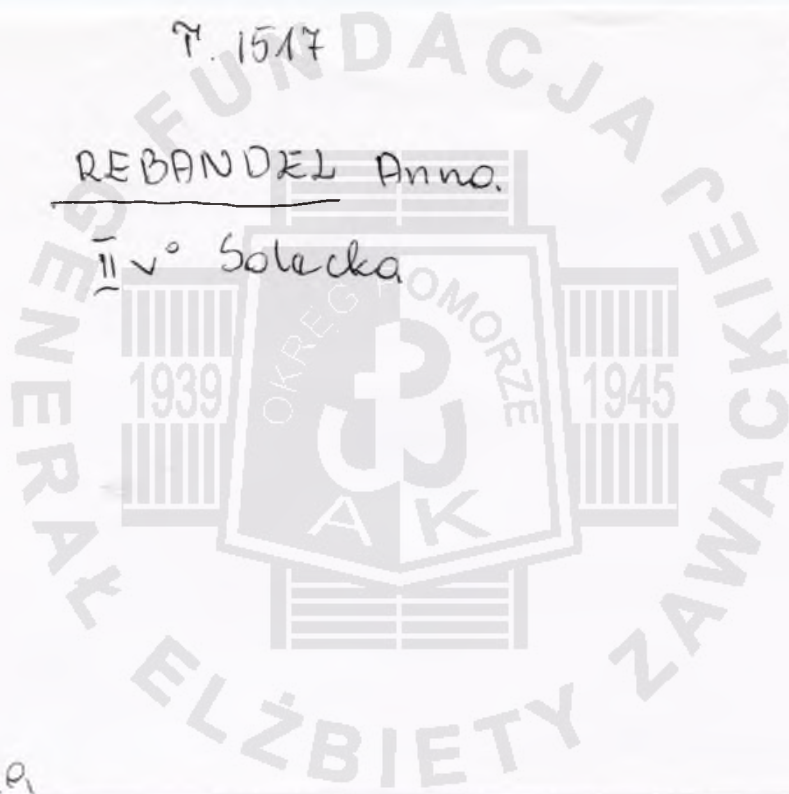
i

7. 1517

AK  
IV-wo.

REBANDEL Anno.

II<sup>o</sup> Sołeczka



K. Min'99



T. 1517/WSK

AK  
W-wa

REBANDEL Anna

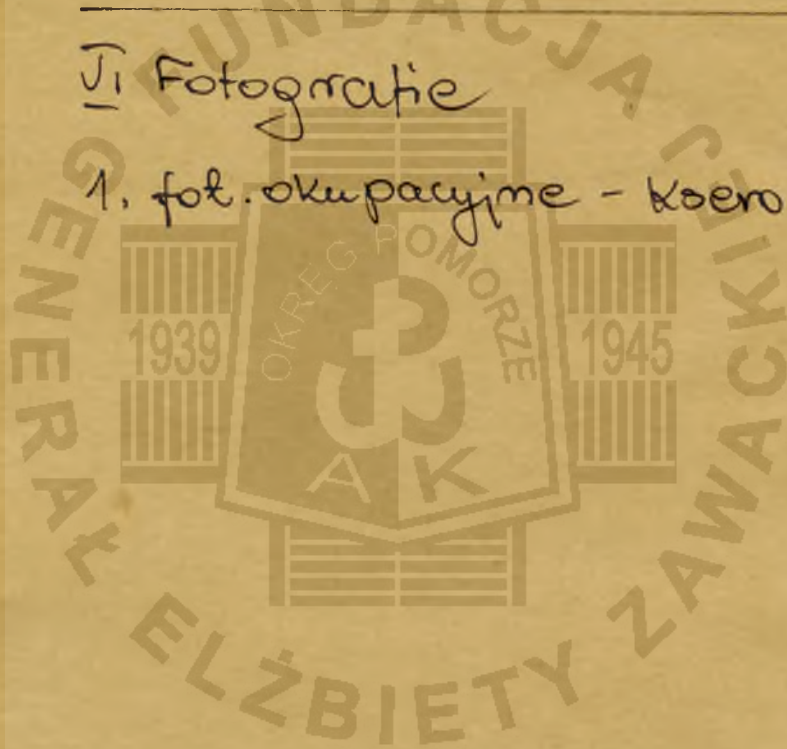
ii v° Solecka

2 d. Kapuścowa

---

I Fotografie

1. fot. okupacyjne - koero - 901-21







Rebandel Anna  
ul.° Solecka  
zd. Kapustowa  
[ b. d. ]



Romova #

AK?

zapece mizicany mi ozoby

prostan mi 25 XI 88 Sosnacie

prose Mlady Mojzich

varem z pismalep

listois vel rei Stjepan skup

T. 418 39

ROMER maria

2 d. Inei ak

oklatnost' Kospiralynjuz

čestovane 239-08

Bluzich Bečeta Tel.



REBANDEL Anna

